

# KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Kruki.—Gołąb z gałązką oliwną.—Broszura Micheleta: Francya w obec Europy.—Smutny postęp. Tryumf maszyny. Paryż Rolandem z Ronsewalu.—Uroczystość w Wiedniu na cześć jedności niemieckiej, z powodu 80-tę rocznicy urodzin Grillparzera.—Nienawiść Berlińczyków przeciw Austryakowi. Nagły zwrot. Owacye. —Stary kalendarz.—Młodość Grillparzera.—Pierwsze wystąpienie. Ahnfrau: Ostatni z domu Dobratyńskich. — Sappho.—Podróż do Rzymu. Campo-Vaccino.—Sąd Bayrona o Grillparzerze. Wyprawa po Złote Runo: Trylogia. Ottokar. Stary sługa.—Fale morza i fale miłości. —Życie snem. Biada kłamcom! Czterdziestoletnie milczenie. Podróż do Grecyi. Osobistość poety. Rozbiór *Ottokara*.—Henryk Klejst, jego dramata i powieści. Obląkanie i śmierć.—Dwa listy Zygmunta K...—Władysław Tarnowski. Koncert jego w Wiedniu.—Literackie prace. Akta Wróblewieckie. *Pamiętniki mojej prababki*.—Ludwik Löwe, zmarły artysta dramatyczny. Wiersz Grillparzera na cześć jego.

Kiedy wody opadły po potopie, i kiedy arka zatrzymała się na szczytach Arraratu, Noe jak wiadomo wypuścił z niej kruka, a ten znalazłszy obfitą pastwę w trupach ludzi i zwierząt, nie powrócił już wcale; wówczasto Noe wypuścił z arki gołębia, który przyniósł mu w dziobku gałązkę oliwną, godło upragnionego pokoju.

Ta opowieść biblijna przyszła nam na myśl, kiedy po strasznej powodzi krwi i łez jaka zalała Francją, ujrzelśmy całe śmy kruków, w postaci broszur najrozmaitszej barwy i treści, rozlatujące się na wszystkie strony świata. Ktokolwiek rzucił okiem na te broszury, przyzna słuszność porównania naszego. Spragnione łupu, żarłoczne owe kruki, rzucają się na pastwę, zatapiają szpony w pierś ofiar. Krzywemi dziobami rwą na sztuki bądź martwe, bądźto drgające jeszcze ciała! Te szarpiają *człowieka Sedanu*, tamte pastwią się nad *człowiekiem z Metz*, inne urągają atlasom i koronkom Eugonii, wgryzają się przez nie w głębi niewieściego

serca; inne znów złowrogiem krakaniem, chciałyby zgłuszyć poklask narodów, należący tak słusznie tym, którzy wśród powodzi ujęli rudel w krzepką rękę, i do ostatka kierowali ojczyzną nawą, strzegąc jej od Scylli i Charybdy!

Ohydny to i smutny obraz! Ktoby chciał przeczytać wszystkie te broszury, i każdej z nich uwierzyć choćby w cząstce, byłby nie pomału zdziwiony, że wody potopu opadać zaczynają, że Francya nie doświadczyła losu owej Atlantydy, która w mniemaniu utopistów dzisiejszych, miała być niegdyś takiemże ogniskiem cywilizacyi, jakim stała się Francya w ostatnich czasach. Słyszeliśmy podobne dowodzenie na jednem z posiedzeń Towarzystwa Etnograficznego, z ust pani Klemencyi Royer; ale mówiąc nawiasem, dowodzenie to mimo całego bogactwa erudycyi, mimo pereł wymowy, nie przekonało sceptyków, jako nie poparte żadnym dotykalnym dowodem.

I otóż po owych chorowodach kruczych, wybiega z arki gołąb z gałązką oliwną, zwiastun dobrej wieści i odrodzenia. Tym gołębiem jest w oczach naszych broszura Micheleta wydana we Florencyi w pierwszych dniach bieżącego roku.

Oceniając polski geniuszu Micheleta, nie przyjmowaliśmy nigdy bezwarunkowo jego teoryj, częstokroć paradoksalnych. W ostatnich nawet fantastyczno-psychicznych utworach: *Owadzie*, *Morzu*, *Miłości*, *Górze* i t. p., a mianowicie w *Biblii ludów*, widzieliśmy z zalem upadek tej potężnej a obłąkaniej pychy intelligencyi; jak niemniej w ostatnich pracach historycznych: *Obrazach wieku Ludwika XV i XVI-go*, uważaliśmy o ile jednostronny pogląd na rzeczy, ómi prawdę przed oczyma namiętnego badacza. I otóż w obecnej chwili ów drapieżny sęp, jakby cudem przeradza się w gołębia, on pierwszy przynosi róższkę oliwną, w postaci broszury: *Francya w obec Europy*.

Z niedowierzaniem, z niejaką nawet przykrością, braliśmy do rąk tę pracę Micheleta. Zdawało nam się, że palące słowa jego będą jakby roztopionym ołowiem, lejącym się na świeże a tak bolesne rany. Jakież było upokorzenie nasze! godziłoż się zuchwale przesądzać myśl człowieka, która jak złoto w ogniu oczyszcza się w boleści i odradza niby Fenix z popiołów. W pośród krakania kruków cmentarnych, głos Micheleta brzmiał dla nas metalicznym tętnem, istny głos odrodzonej Francyi.

Jakżeto historyk-poeta odczuwa każde drgnienie serca tej Francyi, tak lekkiej z pozoru, a tak poważnej, tak pracowitej, tak sumiennej w gruncie; tak gotowej do przypomnienia krzywd i obelg; tak skorzej do ofiar z ducha.— „Po najkrwawszych zapasach, mówi on, Francya wyrzuca gorycz z głębi serca, i rada uznaje zasługę nieprzyjaciół. Któż z nas nie wie jak wspaniało-myślnie po dwudziestu latach wojen, zakończonych klęską Waterloo, przypomniała krzywdy własnej Anglikom? z jakim uniesieniem podziwiała geniusz Walter-Scotta, jak radośnie witała wschodzącą jutrzennkę Bayrona? Olbrzymi rozrost państwa

angielskiego, które wzrosło na rumowiskach Francyi, nie obudził w niej zawiści ani żalu."

"Francya miłuje świat—mówi dalej—ma ona w duszy nie przebrany zasób miłości, szacunku, uwielbienia, i rozlewa go na narody. Ta szczodroblowość w szafowaniu uczuciem, w której zła wola może dopatrzeć smieszność, ma jednak ważny powód. Każdy naród uosabia jedną stronę ideału ludzkości, a przynajmniej dąży do jej urzeczywistnienia. Ową to stronę dodatnią, Francya umie uznać i ocenić w drugich."

"Nigdy ta miłość ogółu nie objawiła się dzielniej—przypomina Michelet—jak w rok po wypadkach Sadowy, podczas wielkiej wystawy międzynarodowej, na tych godach, które Paryż wyprawiał Europie. Z jakążto serdeczną gościnnością otworzyliśmy progi przybyšom z dalekiego świata, z jak ślepem zaufaniem sadzaliśmy ich przy domowém ognisku!

"I jakże wielu cudzoziemców przyjmowało te objawy bratniej serdeczności? z powątpiewaniem, z szyderczym niekiedy uśmiechem! Cóż widzieli w tém mieście? Bulwary, przechadzki, widowiska! Poznaliż oni do gruntu ów głęboki, ów żywotny Paryż, tę olbrzymią kuźnię przetapiającą niezliczone przedmioty, których świat używa, nie rozumiejąc ich bynajmniej. Niektórzy poglądali na te cuda obojętnem nibyto okiem, a lica ich żółkły od zazdrości."

"Mimo jawnych dowodów niechęci ze strony zarenskich sąsiadów naszych—mówi dalej autor—my Paryżanie mieliśmy prawdziwe współczucie dla Niemców. Ja sam dzieliłem je gorąco. W tymże roku 1867, kończąc moją obszerną Historję Francyi, i określając w przedmowie studia, którym poświęciłem długie pasmo lat, z upodobaniem wyliczałem różnorodne wpływy, jakie wywierał na mnie bratni naród, w różnych epokach mego życia. Oceniałem szczególniejszy samodzielny geniusz niemiecki, ten akcent, tę poruszającą wibrację starożytnego języka Teutonów, tę mądrość ludu, widoczną po dziś dzień w zabytkach sądów odbywanych niegdyś pod więzami albo lipami, a nacechowanych głęboką znajomością serca ludzkiego. To zamilowanie posunąłem tak daleko, że przedsięwziąłem ogromną pracę, przekład dzieła Grimma: *Starożytność prawa Germanów*. Sam Grimm podtrzymywał mnie silnie, zachęcał, chwalił pracę moją. Ile z niej skorzystałem, o ile ona rozwinęła moje pojęcia historyczne, powiedziałem to w przedmowie do Historji Francyi, wydrukowanej lecz jeszcze nie ogłoszonej. Ta przedmowa po tylu wypadkach zadziwi może nie jednego. Bóg świadkiem nie wykreślę z niej ani słówka, nie przemilczę tego co zawdzięczam geniuszowi niemieckiemu, i temu wielkiemu a drogiemu mnie Grimmowi! Pragnę gorąco przyłożyć także jedną cegiełkę do narodowego pomnika, który tak słusznie mu się należy."

Korzystał Michelet z prac geniuszu niemieckiego, w gałęzi badań historycznych, korzystali inni w wydziale filozofii; czemuż

niestety francuzcy inżynierowie wojskowi, tak mało skorzystali z praktycznego rozwoju nauk matematycznych w Niemczech? Ubolewa Michelet nad tą nieoględną ziemią a bardziej jeszcze jako filantrop, ubolewa nad smutnym kierunkiem przemysłu, dopomagającego dziś ludziom do mordowania się i niszczenia nawzajem. Ustęp pod tytułem *Tryumf maszyny*, zasługuje na szczególną uwagę.

„Wielką a straszną cechą wieku naszego — mówi autor — cechą odróżniającą go od poprzednich jest udoskonalenie maszyny. Zeszły wiek dał światu robotnika z niezuciem osobistej godności; wiek teraźniejszy wykult robotnika z żelaza, żołnierza z żelaza, maszynę. W pierwszej połowie stulecia, maszyna pracowała tylko na rzecz spokojnego przemysłu; od lat blisko trzydziestu posługuje wojnie, przerabia całkiem jej charakter. Liczne wynalazki skombinowane w maszynie, coraz więcej służą do niszczenia.

„Ciekawą byłaby historia maszyn. Historia to zupełnie nowa. Watt dopiero co umarł. Od roku 1776 do 1840 maszyna wydaje w ogólności dobroczynne owoce. Zaczyna niewinnie od tkania; ubiera, stroi, ogrzewa tak ludy ucywilizowane jak i barbarzyńskie. Dostarcza im za bezcen narzędzi do wszelkiej pracy, przyspiesza ruch, daje skrzydła statkom i parowozom; panuje nad przestrzenią.

„Ale nie dosyć na tém. Oh! ta olbrzymia siła, tak obojętna, inne wyrze niebawem skutki. Dzieci i prostaczkowie patrzą na nią z trwogą. Mylą się oni? Ich wstręt nie jestże przecuciem?

„Lat temu sześćdziesiąt rodzice zaprowadzili mnie do parowej pompy w Chaillot, a potem do konserwatorium maszyn przy ulicy St.-Martin. Zdumiony byłem, przynębiony niejako, w obec tych olbrzymich, a tak nowych podówczas potęg, w obec tych robotników metalowych, tych bezosobistych istot, z miedzianymi albo stalowymi rękoma. Prosta, niedokładna maszyna w Chaillot, na której łoskot drgały mury i trzęsły się szyby, wydała się w oczach moich, raczej wrogiem niż służącą człowiekowi. Wysławiano mi jej zalety. Ale tajemniczy jakiś instynkt mówił mi, że *złe* kryje się w łonie tych nieznanych olbrzymów. Owe straszne utwory rachuby ludzkiej, wydostając się w miarę koniecznego rozwoju matematycznych nauk, nie miały się stać kiedyś działaczami śmierci, narzędziami zagłady?”

Sprawdziły się przecucia. „W tych piekielnych fabrykach mordów — woła autor — jak nieprzeblagany, jakże przerażający postęp! Jedna myśl rodzi drugą. Delvigne ustępuje przed Dreissem, Dreissa zabija Chassepot.

„Toż samo co do armat. Nieporównany Paixham zdemonstrowany był przez Armstronga, Armstrong przez Kruppa bohatera 1870 roku.

„Pistolet o dwóch strzałach, wynaleziony od dawna we Francji i rewolwer amerykański, są jakoby ojcami rozlicznej

broni palnej tego rodzaju. Genewczyk jeden zapewniał mnie, że jeszcze w roku 1839 w arsenale Strasburskim widział model odtylcowego karabina, który dawał ośm strzałów na minutę. Broni taka miała zwyciężyć w 1866 roku pod Sadową. Nasza armia afrykańska odrzuciła ją jako zbyt ciężką.

„Rzeczywista wartość chasspotów, jej cuda pod Meutaną, wcale nas nie olśniły. Ludzie świadomi rzeczy mówili, że najdoskonalsze karabiny, nie mają znaczenia na szerokich obszarach, w obec udoskonalonej artylerii, gdy daleko niosące działa, nie dadzą przystępu piechocie.

„Potworna armata Kruppa, oglądana tak ciekawie na wystawie powszechnej, 1867 roku, rozśmieszała ogromem i ciężarem swoim. Uważano ją tylko jako działo wałowe. I nikt nie wiedział, że w Magdeburgu i innych arsenalach pruskich, odlewano według tegoż samego systematu, lekkie połowe działa, i to w niesłychanej ilości!”

Straszny, nie ludzki postęp! Historyk-filozof pyta, dokąd taki postęp zaprowadzi na koniec ludzkość? Historyk-poeta żałuje tych wieków zwanych dziś barbarzyńskimi, w których osobista dzielność tłumaczyła poniekąd wojnę!

„Nowa sztuka zabijania z daleka, całych ludów, mówi autor, najczęściej nie narażając się wcale, nie pojmując niekiedy okropnych następstw, ażali nie pociągnie za sobą biernej obojętności, jaka nie cechowała dawnych wojen? Nie jestże to morderstwo na zimno? I coż niegdyś uszlachetniało wojnę? co ją tłumaczyło poniekąd?

„Oto wspólne niebezpieczeństwo, poświęcenie, duch ofiary, ożywiający zapaśników. Czyż owi ludzie którzy dziś obliczają rozumem siłę machin, nie zmuszeni wydobywać z siebie własnych sił, zdolają utrzymać się w dawnej potęgę ducha. Dziś mechanik jest wszystkiem, bohater niepotrzebny!”

W tej małej książeczce o stu dwudziestu ledwie stronicach, poznajemy dawnego Micheleta, owego mistrza słowa, który trzydzieści lat temu, z katedry kolegium francuzkiego, tak porrywał umysły, tak czarował serca słuchaczy. W każdym rzucie pióra, genialny starzec kreśli żywotny obraz, czy to maluje tych Lotaryngów w długich frakach przypominających odwiecznym krojem czasy Karola Wielkiego, czy tych pocziwych Alzatów, z niemieckim słowem na ustach, a sercem tak szczerze francuzkiem, bo w nim płynie stara krew mediomatryków, tego najbitniejszego z galskich plemion, zaprawnego do boju w wiekowych zapasach z germanami. Równie żywy a pełen namaszczenia obraz kreśli autor, pysznego minsteru Strasburskiego, którego cudna wieżyca, nieśmiertelne dzieło Erwina ze Steinbachu, uderza najstrześliwiej w obłoki ze wszystkich świata wieżyc! tego przybytku tak drogiego ludowi, bo dzwigniętego wolą i pracą ludu, do którego miliony pielgrzymów znosiło miliony kamieni,

i kładło je pobożnie oblane łzami skruchy, ubłogosławione gorącą modlitwą! tego drogiego pomnika średnich wieków, którego każdy kamień drga częstką życia, które ożywiało piersi jego budowników, tych prawdziwych olbrzymów wiary!

Jeśli miłość do starych pamiątek przeszłości, wyrażona tak gorąco budzi w nas poszanowanie dla autora, o ileż więcej jeszcze buduje serca nasze ta miłość, jaką siwowłosey starzec, zlewa na bratnie głowy! Tém więcej oceniamy tę dobrą wolę, to uczczenie cudzych zasług, że wiemy jak ciężko w chwilach bolesnych prób, zachować serce w pokoju a umysł w równowadze. Michelet z całą surowością potępia tylko niebaczego sternika, który mając powierzone sobie losy Francji naraził kraj na tak okropne klęski, a jednak i w nim szuka strony dodatniej, i znajduje w pogodzeniu Francji z Anglią. Oprócz Napoleona, ma w sercu dla wszystkich miłość i pobbżanie; każdą postać szkicuje śmiałym zarysem.

Roschefort według niego, to *ulicznik bohaterski (gamin heroique)*, który w pośród duszącej atmosfery, łokciem wybił szybę, i dał swobodniej odetchnąć milionom. Członkowie Rządu Obrony, to ludzie wielkich serc, wytrawieni próbą ogniową, pełni poświęcenia i prawości! „Otwórzmy—woła—Złotą Legendę, wpiszmy do niej zacne ich imiona. Kto zmusił tego sędziwego męża, sytego sławy jaką daje talent połączony z zasługą, kto go zmusił do przyjęcia na siebie tej ciężkiej odpowiedzialności, do wystawienia się na niewdzięczność, jaka bywa zwykle udziałem zbawców ludu? Kto zmuszał tego niezłomnego Bretona z siwym włosem, do podjęcia obrony zagrożonego miasta? A ten nieustraszony młodzian, który wyleciawszy z Paryża, ożywił serca płomieniem piersi własnej, organizował wojnę nie znając jej praw, przeczuwając je tylko siłą twórczego geniuszu, kto go zmusił do przyjęcia tej roli tak dziwnej, tak wspaniałej a przerażającej zarazem? Przepaść jaką miał pod stopami, gdy uniesion balonem patrzył w ziemię z wyżyn podslonecznych była mniej niebezpieczną!”

Michelet podniósł się wreszcie do najwyższego szczytu poezji, porównyując Paryż walezący do ostatka, z wiekopomnym Rolandem, tym prototypem walecznego narodu.

„Patrzając niedawno—mówi historyk-poeta—na plan bohaterskiego miasta, opasanego purpurową obręczą fortów, patrząc na te załobne pagórki rozsypane szeregiem, niby olbrzymie mrowiska, przyszedł mi na myśl Roland. Ganelon z Moguncyi, nie wystąpił wręcz przeciw niemu, zagnał go raczej w dolinę Ronsewalu, opasaną wokoło skalistą obręczą Pirenejów. Z tych wyżyn potoczyły się głązy na bohatera głowę. A bohater njął w rękę miecz długi, i rozrąbał górę na dwoje. I przyłożył do ust przestawny róg i wydzwonił wiekopomną pobudkę. Roland poległ... a i któż śmie powiedzieć że pokonał Rolanda?”

Jakby na przekór przysłowiu: *Nikt nie jest prorokiem między swemi*, widzieliśmy w początkach roku bieżącego, cały Wiedeń zespolony w jednej myśli. Szło tu o uczczenie zasług ośmdziesięcioletniego starca, Franciszka Grillparzera, jednego z najślawniejszych dramaturgów niemieckich dzisiejszego czasu. Myśl ta szlachetna, w pięknym świetle przedstawiała nam Wiedeńczyków. Przyzwyczajeni będąc we Francyi do codziennych objawów czci, dla ludzi zasługi i talentu, bądź zmarłych od dawna jak Racine, Kornel, Moliere, bądź przed kilku laty jak Ponsard i perukarz Jasmin, którym zeszlęj wiosny, wzniesiono pomniki w rodzinnych miastach, sądziliśmy że i Wiedeń powodowany wdzięcznością dla poety swego, wylewa z duszy uczucie z tak gorącym objawem. Było to i uczucie w rzeczy samej, ale obok prawdziwych hołdów dla poety, któżby nie dopatrył w tych nadzwyczajnych manifestacjach, i zabiegów politycznych na rzecz jedności Niemiec?

Nagle zbudzoną miłość Niemców do Grillparzera, z którego tylokrotnie szydziły pisma berlińskie i wejmarskie, którego przez lat tyle krytyka poila żółcią i octem, tę miłość porównać chyba możemy z ową gwałtownie zbudzoną miłością do Alzacyi i Lotaryngii, o których przez dwa wieki nie marzyło się dziadom, a bez których wnuki wyżyłoby dziś nie mogły.

Zobaczmy tylko co ośm lat temu w r. 1863, pisała o wiedeńskim poecie *Algemeine Zeitung* berlińska. Było to po odegraniu Medei. „Grillparzer—mówi krytyk pogardliwie—jest poetą austriackim. Prosty przypadek zdarzył, że pisze po niemiecku, nie zaś po czesku ani madziarsku. Poemata jego mimo języka nie mogą być uważane, za objaw geniuszu niemieckiego.”

Ilna krytyka w tymże samym tonie sarkatycznym, ogłoszoną była w piśmie pod redakcją Schmidta, historyka niemieckiej literatury.

I zikądże po ośmiu latach, ten Austriak, przypadkiem tylko nie Czech ani nie Madziar, staje się chwałą wielkiej ojczyzny niemieckiej, od Pregla po Mozellę? Przypadek to zrządził w rzeczy samej; przypadkiem tym Sadowa! i następstwa jej nad Renem i Mozellą! Ten to przypadek zrodził cudem jakby nową estetykę dla Berlińczyków. Dziś Grillparzer stał się u nich nowym Goetem, nowym Szyllerem, słowem najznakomitszym przedstawicielem geniuszu niemieckiego.

Sława Grillparzera gwałtownie i nadspodziewanie, rosła w północnych Niemczech, w miarę równie gwałtownego i nadspodziewanego postępu *machin wojennych* pod Wörth, Sedanem i Paryżem. Wzrosła na koniec do najwyższego entuzjazmu w rocznicę urodzin poety! (15 stycznia). Były to zarazem urodziny nowego Cesarstwa. Stolicy Niemiec cesarskich godziło się przelewszystkiem uczcić wielkiego poetę niemieckiego, to jest zdobyć go szturmem owacy, jak szturmem dział zdobyto germański Strasburg i Thionville!

Na długi czas przedtem zaczęła berlińska *Allgemeine Zeitung*, pytała z urąganiem kto to jest ów Grillparzer, piszący przypadkiem po niemiecku, Wiedeńczycy na rozmaity sposób czcili poetę swego. Już w roku 1844, Towarzystwo *Concordia* w dniu jego urodzin, wyprawiło uroczystość, w której brało udział dziewięćdziesięciu literatów i artystów. Powtórzyło się toż samo w r. 1860. W lat cztery później przesławny magistrat wiedeński, z prezydentem Zielenką na czele, wręczył poecie w imieniu grodu Dyplom Obywatelstwa. Wiele było innych jeszcze objawów czci i poszanowania, równie zaszczytnych dla poety jak i dla ziomków, którzy choć późno uczcić go potrafili. Do tych liczy się złoty medal wybity w pięćdziesięciolecie rocznicę urodzin, i krzyż Leopolda (pierwszy jakim kiedykolwiek Habsburgowie wynagrodzili zasługę poetyczną); i wezwanie na członka Akademii nauk, a następnie na członka Izby Panów.

Widzimy więc że Wiedeń nie potrzebował pobudek ze strony nowego Cesarstwa; przeciwnie nawet, tak nagle wdanie się Berlina, jeśli z jednej strony nadało nowy blask uroczystości, to z drugiej strony sparaliżowało poniekąd uczucia patryotów austriackich.

Nie będziemy się dłużej zatrzymywać nad polityczną stroną tegorocznych manifestacyj, a wspomnimy tylko o życiu i pracach wielkiego poety.

Grillparzer urodził się w Wiedniu 15 stycznia 1791 roku. Ojciec jego, słynny w swoim czasie adwokat, w dniu urodzenia syna, staroświeckim obyczajem zapisał w kalendarzu wypadek tak ważny dla rodzicielskiego serca, a który miał się stać nie mniej ważnym w dziejach literatury. Ów kalendarz w ciągu lat ośmdziesięciu, przechodząc z rąk do rąk, ocalał przypadkiem od zniszczenia. Podczas ostatnich uroczystości jedna z pań wiedeńskich ofiarowała go solenizantowi: był to najpiękniejszy upominek jaki spotkał poetę, droższy mu stokroć nad listy i telegramy, jakie otrzymywał od królów i książąt z całych Niemiec. Na widok pisma ojcowskiego rzewne łzy potoczyły się z oczu starca.

Długie pasmo życia poety przeszło spokojnie, cicho, jednostajnie, zdaniem wszystkich jego biografów. Od chwili urodzenia, aż do zgrzybiałej starości, przemieszczał on w tymże samym domku, odziedziczonym po rodzicach. Przez lat ośmdziesiąt wyglądał i wygląda jeszcze, témże samém oknem na rynek starego miasta; przez lat czterdzieści trzy przesiedział przy jednym stoliku, jako archiwista skarbowy. Dziwiłże się biografom, jeśli takie życie nazwali spokojnem? Ale odczytajmy z uwagą dzieśiątek dramatów które jak lawa kipiąca, wybuchały z głębi tej duszy, twórczą wyparte siłą, a pojmiemy jaki płomień uczuć, jakie piosłuny boleści przepalały je wewnątrz, podczas gdy życie płynęło w ciszy i zewnętrznym pokoju!

Do dwudziestu lat pobierał Grillparzer nauki w szkołach i Uniwersytecie Wiedeńskim; później przyjął służbę w wydzia-

le skarbu. Wcześniej rzucił się na pole literatury, ale krytyka wiedeńska ostro hłostała młodzieńcze próby jego pióra. Utworzył wielki dramat wierszem, oddał go do teatru. Wkrótce potem, sekretarz dyrekcyi odesłał mu rękopism, z surowém napomnieniem, żeby młody autor nie łudził się napróżno, i nie marnował czasu, brak mu bowiem talentu poetycznego. Grillparzer rzucił do ognia pierwszą pracę, obrażony w miłości własnej postanowił zerwać na zawsze z muzami. Szczęściem nie dotrzymał słowa. Nową porwany myślą wziął się do komedyi, lecz i tu spotkał go smutny zawód. Przypadek zrządził że w tymże czasie, znany autor dramatyczny Hutt, obrał tenże sam przedmiot. Grillparzer był w teatrze na pierwszym przedstawieniu sztuki. Łatwo pojąć co się z nim działo, gdy ujrzał na scenie własny pomysł jakby mu wykradziony. Nie dokończona komedya poszła w ogień, zrażony autor przyrzekł sobie nie próbować już więcej szczęścia.

Później jednak, ulegając namowię przyjaciół przetłumaczył kilka scen z Kalderona. Poeta Schreifogel, przejrzawszy tę pracę poznał rzeczywisty talent w młodym pisarzu. Pod jego to wpływem Grillparzer utworzył dramat *Ahnfrau* (prababka). Przedstawiono go na scenie wiedeńskiej w roku 1817. Dramat ten rozgłosił imię poety. Ale jeśli z jednej strony wywołał gorący poklask, z drugiej strony pobudził ostrą krytykę, zwłaszcza w północnych Niemczech. Zarzucano autorowi propagowanie fatalizmu na scenie, mimo surowych sądów, tłumaczono sztukę na różne języki europejskie, przedstawiano ją w różnych krajach, co daje rzeczywistą miarę jej wartości. *Ahnfrau* do dziś dnia wywołuje oklaski w teatrze wiedeńskim; grano ją w dniu styczniowego obchodu. Przekład jej polski nosi tytuł: *Ostatni z domu Dobryńskich*, tłumaczenie St. Staczeńskiego.

Większy jeszcze rozgłos znalazła tragedia *Sapho*, przedstawiona w rok po *Ahnfrau* w roku 1818. Pierwsi koryfeusze krytyki niemieckiej. Gotschalk, Gubitz, Laube, Böerne i inni, wystąpili wtedy do walki: jedni z najwyższym zapalem podnosili utwór mieniając go nieporównaném arcydziełem, autora zaś wynosząc po nad Schillera, drudzy miotali gwałtowne pociski, zowiąc sztukę złą i nieobyczajną. Najzaciętszym wrogiem Grillparzera okazał się stał Gerwinus, jeden z głównych reprezentantów idei północno-niemieckiej.

Oto treść sztuki w kilku słowach.

*Sapho* słynna niegdyś z nieporównanych wdzięków, podziwia świat jako wielka poetka. Ale sława nie wystarcza genialnej kobiecie, serce jej tęskni za uczuciem, pragnie kochać i być kochaną. Miłość jej dla młodego Faona, ma w sobie niejako charakter miłości macierzyńskiej, gotowej na największe ofiary. Młodzian kocha ją pierwszém uczuciem, ale słaba ta isierka gaśnie zbyt rychło; uczucie jego zmienia się w prostą wdzięczność, zostaje przyjaźnią, niczem więcej. Młodzieńczy urok Melitty, silniej go

pociąga, niż cały blask sławy jakim jaśnieje Sapho. Widzi to poetka; szalona zazdrość budzi się w jej sercu: walczy potężnie sama z sobą. To jak rozbitek, chwytający się oburącz ostatniej deszczutki zbawienia, rozbudza w piersi zagasłą nadzieję; to potęgą geniuszu, i urokiem chwały usiłuje przykuć młodziana do stóp swoich: to znów czuje całą gorycz upokorzenia. W końcu zwycięża sama siebie, postanawia spełnić ofiarę. Niech on będzie szczęśliwy, jej pozostanie wieczna sława.

Oto ostatnie wyrazy Sapho, wyrzeczone w chwili gdy ma się rzucić w głąb oceanu:

Wielcy bogowie! z waszej to szczodroty  
Jam nieśmiertelnym wzbogacona darem;  
Wyście mi pieśni podali łuk złoty,  
Usta poili natchnienia nektarem;  
Iskrę uczucia zaklęli w me łono,  
Roztliili jasno mój myśli pochodnię,  
Dali mi w słowo przyoblec ją godnie,  
I skroń uwieńczyć zwycięstwa koroną,  
Wyście rozsieli po ziemi dalekiej  
Ziarno mój pieśni, i pieśń ta nie skona,  
Rozbrzmi w tysiące dźwięków rozrodzona  
I chyba z ziemią przepadnie na wieki.

Sapho przedstawiana była z jednakiem powodzeniem, w Paryżu, w Londynie, w Medyolanie i Neapolu, a nawet w Nowym Yorku i Bostonie. Na angielski język po trzykroć ją tłumaczono.

Podczas gdy dwa obozy kruszyły kopie o cześć sztuki i sławę autora, Grillparzer puścił się w podróż do Rzymu, w końcu roku 1818. Poruszony widokiem starożytnych gruzów, zaścielających gród owieczny, napisał piękny poemat p. t.: *Campo Vaccino*. W Rzymie poznał Bayrona. Wieszczy Albionu, uniesiony pięknością Sapho, ocenił geniusz niemieckiego poety. „Nazwisko Grillparzer—rzekł—trudno się bardzo wymawia, ale świat przywyknie do niego!”

Za powrotem z Rzymu utworzył poeta wielką trylogią: *Zdobycie złotego runa*. Pierwsza część nosi tytuł: *Wyprawa Argonautów*, druga *Jason*, trzecia *Medea*. Wspaniały ten utwór przypomina trylogią grecką z czasów Eschillesa i Euripidesa. Poeta pojął głęboko charakter Medei; oddał go z nieporównaną siłą. O ile w Sapho ukazał serce kobiety, targane wewnętrzną walką, wielkie uczuciem, gotowe do najboleśniejszych poświęceń, pożerające samo siebie; o tyle w Medei przedstawił inne serce, porwane piekielnym szaleń, nie syte pomsty, pławiące się z rozkoszą we krwi ofiar.

W trzy lata potem w roku 1824, wystąpił z Ottokarem. Przedmiot ten oprócz interesu powszechnego, miał jeszcze charakter miejscowy. Walka to dwóch potężnych zapaśników, o ko-

ronę cesarską a raczej o przewagę w Europie, wiadomo bowiem czem było Cesarstwo Rzymskie w średnich wiekach. Grillparzer jako wielki artysta, zrozumiał dobrze, iż ukazując w równym świetle dwóch bohaterów wieku, nie tylko, że uczyni zadosyć prawdzie historycznej, ale też silniej poruszy dramatyczne sprężyny w sztuce. Inne zdanie napotkał w dyrektorach wiedeńskich. Ci stawiali za konieczny warunek, aby poeta odarł promienie sławy z czoła bohatera czeskiego a pomieścił je wszystkie na czole protoplasty Habsburgów. Trudne było położenie autora. Napróżno przedstawiał, że im potężniejszy Ottokar, tym świetniejszy tryumf jego zwycięzcy. Nic to nie pomagało. Podczas gdy publiczność niecierpliwie czekała na sztukę, Grillparzer zmuszony był obcysywać jednego z bohaterów dramatu, a drugiego nalepiać do olbrzymich rozmiarów. W miarę jak malał Ottokar, wyrastał Rudolf. Ten gwałt zadany pojęciom autora, musiał wpłynąć koniecznie na wartość utworu. Sumienna krytyka, w pierwszych trzech aktach widzi prawdziwe arcydzieło; dwa ostatnie mimo wielkich piękności pojedynczych psują jednakże całość.

Mimo takiego zredukowania, bohater czeski wydał się jeszcze zbyt wielkim w oczach północnych Niemców, zanadto śmił im słońce: ztąd krytyka berlińska pastwiła się nad nim bez litości.

Równy opór ze strony dyrekcji, równą złość krytyków północnych napotkała z tych samych przyczyn, tragedia: *Wierny sługa pana swego*. Grillparzer wziął tu za przedmiot ustęp z historii Węgier: spór Ottona księcia Meranii z Andrzejem królem węgierskim. Baakbanus wierny sługa Andrzeja, wyrwa piskłę królewskie, małego Belle, ze szponów jastrzębia germańskiego. W Ottokarze równoważył się mniej więcej urok dwóch bohaterów; w *Wiernym słudze*, Węgrzy pełnym jaśnieją blaskiem. Mogłaz krytyka północna patrzeć spokojnie, na takie poniżenie germanizmu, w osobie Ottona z Meranii? Wówczas to rzucano grom kłątwy na głowę Grillparzera, wówczas nazwano go pogardliwie Austriakiem, wówczas szydzono, że przypadkiem tylko pisał po niemiecku, nie zaś po czesku lub madiarsku. Złośliwe te słowa powtarzali krytycy w długim szeregu lat, aż do czasu kiedy dowiejniejsi z nich, widząc, że nie zabijają sławy Grillparzera, woleli z Austriaka uczynić go znów Niemcem, ku wiekszej chwale tryumfującego pangermanizmu.

*Wierny sługa* przedstawiony był w Wiedniu roku 1828, lecz usunięto go z repertuaru po pierwszych przedstawieniach. Tragedya tak się podobała cesarzowi Franciszkowi, że radby—jak mówił—kupić ją na własność, lecz nie chciał dać jej poznać publiczności wiedeńskiej; radził więc autorowi, żeby zatrzymał dalsze jej przedstawienia. Wznowiono ją dopiero w roku 1851. W Pradze przyjmowano z zapalem sztukę przełożoną na język czeski.

Po tych przykrych zajściach z *Wiernym sługą*, autor dał do teatru wiedeńskiego nowy dramat: *Fale morza i fale miłości*. Przedmiot tu wysnuty ze starożytnej tradycyi greckiej o Leandrze

i Herro. Sztuka upadła po kilku przedstawieniach, z przyczyny jak się zdaje braku odpowiedniej artystki. Podniesiono ją w dwadzieścia lat potem; wtedy cały Wiedeń przyklasnął jej gorąco. Sławna aktorka Bayer-Bürek po mistrzowsku oddała rolę greckiej bohaterki. Ta sztuka zaleca się dziwnie pięknymi ustępami; ztąd jedni widzą w niej arcydzieło, gdy tymczasem drudzy zarzucają przedmiotowi samemu brak żywiołu dramatycznego.

Siódmy z kolei dramat *Życie snem* doznał jak najświetniejszego powodzenia, w roku 1834. Dramat ten tłumaczony na język polski, o ile pamiętamy przedstawiony był i w Warszawie.

Po raz ostatni wystąpił Grillparzer w roku 1838 z komedią p. t.: *Biada kłamcom*. Publiczność przyjęła ją niechętnie, mimo wielkiej poezji uczucia ożywiającej sztukę. Obóz nieprzyjazyńców krytyków, pod sztandarem Gerwinusa, Hillebrandta, Mundta, wystąpił z całą zajadłością. Głęboko dotknięty autor, nietylko złośliwymi pociskami krytyków, do których przywykł już od dawna, jak raczej obojętnością wiedeńskiej publiczności, umilkł stanowczo; odtąd żadne namowy przyjaciół nie zdołały go skłonić do przerwania tego milczenia. W ciągu następnych lat trzydziestu nie dał nic do teatru oprócz małych urywków, jak *Libusza*—obrazek dramatyczny, odegrany w roku 1840, na korzyść Siostr Miłosierdzia,—następnie zaś dwóch aktów z *Estery*, i sceny z *Annibala* i *Scypiona*, odegranej w roku 1869.

Oprócz ośmiu dramatów, z których każdy jest prawdziwym klejnotem poezji, napisał Grillparzer dwie powieści poetyczne: *Stary grajek* i *Klasztor w Sandomierzu*. Nie znamy ich wcale, gdyż wyczerpane oddawna stały się dziś rzadkością bibliograficzną. Ułożył przytém libretto do opery p. t.: *Meluzyna*, Bethoven miał stworzyć muzykę, ale śmierć nie dała mu spełnić zamiaru. Zastąpił go Kreitzer. Opera poszła w zapomnienie, z winy nie poety ale kompozytora.

Liryczne utwory Grillparzera nie ustępują bynajmniej jego dramatom. Mnóstwo tych drobnych perelek kryje się po czasopiśmie wiedeńskich. Najwięcej z nich ceniony poemacik poświęcony pamięci Bethovena.

Strona rzewna stanowi główną cechę tych pieśni; w nich poeta wyraża czasami głęboką boleść, co stargala wątek dni jego, napozór tak cichy i spokojny.

Jakież to ból przebija w tych słowach:

Wiem ja z doświadczeń długiej kolei,  
Jak zimny świat;  
Litość nie wskrzesi zgasłej nadziei:  
Nie wróci strat.

Jak ta ptaszyna co wiosną kilka  
Przespiewa dni,  
Dopóki piosnkę miłości chwilka  
Rozbudza w niej.

A gdy gniazdeczka jesień postrąca,  
 Gdzie czerpnąć technień!  
 Utuli główkę cicha i drżąca  
 Pod listków cień.

Tak ty w mém sercu piosenko złota  
 Skrzydelka stul,  
 Niechaj cię uśpi błąda tęsknota  
 I cichy ból!

Uwolnwszy się od służby rządowej, poeta zapragnął zwie-  
 dzić ojczyznę swojej Sapho. Popłynął do Grecyi w roku 1843.  
 Wylądował w Pireum; z rozkoszą powiódł okiem po attyckich  
 równinach. Serce uderzyło mu na myśl, że wkrótce ujrzy zwa-  
 liska Koryntu, wyspę Leokadyi, słowem wszystko, za czém od lat  
 wielu tęskniła poetyczna jego dusza. Inaczej się stało: nie była  
 to pora na taką podróż. Grecy przez niechęć do króla  
 Ottona wściekli byli na wszystkich Niemców. Poeta zmuszony  
 schronić się pod opiekę ambasady austriackiej, wychodził tylko  
 w towarzystwie urzędnika, z którym rozmawiał po włosku, aby  
 uniknąć podejrzliwości Greków. Gdyby Sapho nie była już na-  
 pisaną, kto wie czyby ją utworzył poeta po niegościnném przy-  
 jęciu jakiego doznał w jej ojczyźnie.

Wkrótce po powrocie do kraju, wezwany był Grillparzer  
 na członka tworzącej się właśnie akademii nauk. Zasiadł w gro-  
 nie czterdziestu, mało jednak uczęszczał na zebrania. Unikał on  
 pilnie sporów polemicznych, nie wdawał się nigdy w krytykę;  
 okazywał nawet wyraźną niechęć ku wszelkim absolutnym teo-  
 ryom. Jako nieodrodný syn wieku, następcą Goetego i Szyllera,  
 musiał być w gruncie romantykiem, oceniał przecież całą piękność  
 starożytnych utworów, a jeśli odrzucał ciasne więzy szkołarstwa,  
 duszące sztukę, badał przecież do gruntu klasyków greckich,  
 i usiłował sprostac im niezrównaną czystością formy. Występuje  
 też w literaturze jako eklektyk, łączy w utworach swoich obie  
 szkoły, biorąc z każdej co odpowiada pojęciom jego estetycznym.  
 Własną opinią w tym względzie objawił w żartobliwym wier-  
 szyku:

„Dzisiejsi krytycy—mówi on—istne papugi, wyuczyli się  
 napamięć dwóch słów i szafują niemi bezustanku. *Klassycyzm*  
 i *romantyzm* oto dla nich dwoiste kryterium. Zapomnieli w pysze  
 swojej, że w literaturze istnieją jedynie dwa rzeczywiste rodzaje:  
 jeden *zły*, drugi *dobry*.

Raz tylko Grillparzer wystąpił stanowczo w akademii, i to  
 w sprawie słowiańskiej, przy naradzie nad pierwszém pytaniem  
 konkursowém. Szafarzyk i Palacki żądali pierwszeństwa, dla  
 wyjaśnienia stosunku języków słowiańskich między sobą. Niemcy  
 walczyli zacięcie przeciw wnioskowi, widząc w nim obrazę cywi-

lizacyi germańskiej. Grillparzer lubo Niemiec oświadczył się wyraźnie za Słowianami. Kto wie czy nie on przechylił nawet szalę.

Powierzchnowość poety nadzwyczaj skromna i prosta, prawdziwą jest zagadką dla fizyognomistów. Ci którzy szukają śladów geniuszu w pewnych liniach charakterystycznych oblicza i postawy, wyznają że postać Grillparzera wychodzi z ich systemu. Jakoz w rzeczy samej na widok tego starca, średniego wzrostu, zgiętego ku ziemi brzemieniem lat, a może i trosk przeżytych, z głową lekko przechyloną na bok, z rysami niewydatnymi, z okiem przygasłym, przechadzającego się samotnie w pośród tłumów, trudnooby zaprawdę domyslić się że patrzymy na pierwszorzędną gwiazdę poetyczną dzisiejszych Niemiec. Bojaźliwy z natury, unika zetknięcia z ludźmi, w szczupłym tylko gronie przyjaciół czuje się w właściwym sobie żywiole. W ówczas to błękitne jego oko zapala się nagle, twarz nabiera wyrazu, z ust wybiega głos miękki i przyjemny.

W chwilach samotnych poeta z upodobaniem oddaje się muzyce. W grze na flecie prawdziwym jest artystą. Znane są niektóre utwory muzyczne jego kompozycyi. Długoletnia przyjaźń łączyła go z Bethovenem.

Dziś szczególniemi względami otacza Józefa Weilena, jednego z pierwszych dramaturgów niemieckich młodszego pokolenia. Ilekroć Weilen układa jaki dramat, przedstawia plan Grillparzerowi, zasięgając rady jego doświadczonej. Starzec udziela jej chętnie, widząc w autore Drahomiry i Rozamundy godnego siebie następcę. Może Grillparzer patrząc na Weilena, powtórzyć słowa, które ten ostatni włożył w usta jednego z bohaterów swoich:

„Jakżem szczęśliwy że mi niebo pozwała;  
Gdy mi usrebrzył czoło puch gołębi,  
Tę starą sławę i zasługi moje,  
I wszystkie bluszcze co mi czoło wieńczy  
Na jego głowę przekazać młodzieńczą,  
Być tą pochodnią co zgaśnięcia blizka,  
Płomieniem nową zapala pochodnię!”

Z pomiędzy ośmiu dramatów Grillparzera, zastanowimy się nieco obszerniej nad Ottokarem. Sam przedmiot bliżej nas obchodzi jako przedstawiający walkę bratniego nam ludu z żywiołem niemieckim. Do tejto walki przyzywał Ottokar i naszych Piastów wołając na nich. „przybывajcie co żywo!.. inaczej, gdy my upadniemy, paszcze Teutonów pochłona was niechybnie!”

Ottokar jest nieodrodnym synem swego wieku, a nawet jednym z jego przedstawicieli tak w złym jak i dobrém. To też historycy i dawniejsi i nowsi sądzą go w sposób radykalnie przeciwny. Jedni widzą w nim wielkiego bohatera w duchu prawdziwie chrześcijańskim, gdy tymczasem drudzy potępiają go surowo

jako awanturnika i szalbierza. W młodym wieku, spragniony walk i sławy, pośpiesza otoczony rycerstwem czeskim i morawskim, pod chorągwie Krzyżaków nie dawno powołanych przez Konrada Mazowieckiego. Tam wśród grona książąt niemieckich, spotyka (jak mniema Palacki) i Rudolfa z Habsburga, przyszłego zapasnika swego i pogromcę. Tam także, dziwnym zrządzeniem losów, kładzie kamień węgielny grodu królewieckiego, tego przyszłego gniazda potęgi pruskiej!

Z burzliwego życia Ottokara, autor dramatu wziął chwilę, kiedy rodzina Hohenstauffenów, wysilona stuletniemi zapasy, tak we Włoszech jak Niemczech, walczy zacięcie i ginie z chwałą. Kto po niej nastąpi: niewiadomo. Zaczyna się drugie bezkrólewie i to w czasach kiedy jedność była tak niezbędnie potrzebną, w obce groźnej siły Mongołów już ustalonych na Haliczu, a ztąd niszczących i Węgry i Czechy i Polskę. Wówczas niektórzy książęta niemieccy udają się do Ottokara. Nie jestże on synem księżniczki ze sławnego rodu zgasłych Hohenstauffenów? nie dałże dowodów dzielności ramienia swego, i zdolności rycerskich, w walkach z pogańskimi Prusami. Nie pokonałże on walecznych Węgrów; nie okazałże wielkiej przezorności politycznej, kiedy zwalczwszy ich, mogąc przyłączyć ich ziemie do swych dziedzicznych posiadłości, wolał widzieć w nich niepodległych sprzymierzeńców! a to dlatego aby mogli wydobyć z siebie więcej sił w obronie Europy przeciw Mongołom. Czyż i Polacy nie uznają w Ottokarze obrońcy swojej narodowości?

Te liczne powody, a co więcej zatargi domowe samych książąt niemieckich, przeważają silnie szalę na stronę Ottokara. Ale Ottokar przedewszystkiem jest Czechem. Chce panować w świecie jako król czeski, pragnie gorąco pomyślności i chwały Czechów, gdyby mu nawet przyszło gwałtem zmusić ich do postępu. Posłuchajmy jak przemawia do panów czeskich:

Ten płaszcz mój aksamitny, bramowany złotem,  
Kupiłem go w Augsburgu, i kiedyz mi w Pradze  
Wykonacie podobny? czas pomyśleć o tém;  
Ja tak chcę, tak być musi, ja temu poradzę,  
Nauczę was; chęć moja wnet stanie się czynem:  
Bądź co bądź wasza Praga musi iść do pary  
Z Akwisgranem, z Paryżem, Wiedniem i Londynem.  
W obco świata szeroko my skrzydła rozpostrzem,  
Te ludy, co szczydziły z was słowy pysznemi,  
Jam wszystkie je pokonał mego miecza ostrzem.  
Już Węgry drżą przedemną, umilkły Bawary,  
Butnej Egrze niemieckiej i styryjskiej ziemi  
Narzuciłem ja rządy; zuchwałą Rakuszę  
I Krainę, ma stopa zwycięzko przygniata,  
Na dalekie ja kraje poniosłem Czech imię.  
Sława Czech z szerokiego odbrzmiewa mi świata,

Ale nie dość mi na tém! ja dalej iść muszę!  
 Mógłbym dziś gdym wykonał te dzieła olbrzymie  
 Zasnąć, jak ojce moi nazbyt długo spali,  
 I wam dać spać, jak ojcom waszym dozwolono;  
 Lecz cofać się nie pora, potrzeba iść dalej.  
 Powiodłem was na górę w skały najeżoną.  
 Idźmy! biada kto piersią tych skał nie przebije!  
 Lub nam iść, albo w otchłań spaść na łeb, na szyję,

Jeśli tak pysznie postępuje Ottokar z własnym narodem, stokroć dumniejszym okazuje się w stosunkach z obcymi. Pogardliwem obejściem zraża ku sobie panów rakuzkich, styryjskich, karyńskich i krańskich. Z dumą przyjmuje samychże posłów niemieckich, którzy przybywają z zapytaniem, czy przyjmie koronę cesarską w razie obioru.

Ottokar nie wątpi o tryumfie. Duma jego sięga daleko w przyszłość. Nie wątpi że będzie panował nad obszernem państwem. Dręczy go myśl że nie ma potomka, któryby odziedziczył po nim władzę. Oddała bezdzietną małżonkę, podeszłą w latach Małgorzatę, wdowę po księciu Rakuzkim, korzystając przecież z zapisu jaki uczyniła na rzecz jego z wszystkich swych ziem dziedzicznych.

Piękna to postać tej Małgorzaty w dramacie Grillparzera. Posłuchajmy jej głosu, kiedy oddalona przez Ottokara opowiada co ją skłoniło do oddania mu ręki:

W zamku Haimburskim, jak przystało wdowie,  
 Snułam żałosna bladą życia przedzę,  
 Wtém przyszli do mnie rakuzcy panowie,  
 Poczeli kraju przedstawiać mi nędzę;  
 Jeszcze otucha nie zgasała ostatnia,  
 Wnet ład stargany wróci w gnieździe starem,  
 Gdy moje losy złączę z Ottokarem  
 I nasze ludy sprzęzę zgoda bratnia.  
 — Nigdy! — jam rzekła — mnie dosnuć w żałobie  
 Wątku dni moich, jak wdowie przystało,  
 Przysięgłam wierność temu co legł w grobie  
 Na cały żywot, i na wieczność całą!

Wówczas mnie oni wywiedli z komnaty  
 I ukazali z krucżanku zameczyska,  
 Płonące sioła, pogorzałe chaty,  
 Przesławnych grodów czarne rumowiska,  
 Obszar krwią ściękły, trupami zasłany,  
 I lud mój biedny garnący się rojem!  
 Łzawe niewiasty odziane w łachmany,  
 Biegną pod skrzydłem utulić się mojem,  
 O! na ten widok zabrakło mi siły!  
 Ciężkiej boleści przebrała się miara,

Potężną wolę, łączy ludu zwależyły,  
 Przyprawiono do mnie Ottokara.  
 „To mąż twój, księżno! ślubuj mu na Boga  
 Wiare!” wykrzyknął Rakuszany chórem.  
 Dreszcze mnie zbiegły... widzę go u proga,  
 Stoi nieśmiały, z obliczem ponurém;  
 Czarne źrenice, czarną brwią zjeżone,  
 Zwrocił młodzieniec, i we mnie matronę  
 Bystro je utkwiał (1); a ja cała drżąca,  
 Pomna klęsk tyłu, pomna krwi stoczonej,  
 Jam przepomniała wiary przysiężonej  
 Memu zmarłemu.

Cicha Małgorzata z głębokiem poddaniem przyjmuje wiadomość, że Ottokar zrywa z nią małżeńskie śluby. Nie myśląc o zemście, oddała się spokojnie do zamku ojców swoich. Ottokar tymczasem pojmując w małżeństwo Elżbietę, wnuczkę króla Beli, książniczkę mazowiecką (?). Ale krzywda Małgorzaty porusza do żywego panów styryjskich. Merenberg poprzysięga ją pomścić. Wyprawia młodego syna Sejgfyda, z listem do arcybiskupa kołońskiego, który najsilniej popierał Ottokara. Książęta niemieccy zgrozą przejęci, w obec samowoli króla czeskiego zmieniają postanowienie, wybierają Rudolfa z Habsburga. Kraje Rakuskie, które Ottokar posiadał z prawa żony, powstają przeciw niemu. Na domiar kary w samych Czechach, Zawisza i inni Rozenbergowie podnoszą sztandar buntu.

Wściekłość ogarnia Ottokara. Wtrąca do więzienia Merenberga, Lichtensteina i innych możnowładców. Zbiera rycerstwo, wyrusza nad Dunaj, przeciwko nowemu cesarzowi. Widząc w około siebie zdradę, zmuszony do holdu, korzy się przed Rudolfem. Uczucie hańby, pogarda własnego ludu, zniewagi ze strony młodej, niewiernej żony, wszystko to doprowadza go do szaleństwa. Szuka ofiary: Merenberg musi przypłacić głową. Zrywa pokój z cesarstwem, potrzeba mu zwyciężyć albo umrzeć. W rozpaczliwym boju, odcięty od swoich, znajduje się nagle wśród cmentarza. W kaplicy leżą zwłoki, tylko co zmarłej Małgorzaty. Wieziono ją do grobów rodzinnych; obroty wojsk wstrzymały żałobny pochód i zmusiły panów dworskich do złożenia ciała w kaplicy napotkaną po drodze. Widok trupa odtrąconej małżonki, o której skonie dowiedział się w tej chwili, uderza silnie Ottokara. Pyszny bohater po raz pierwszy okazuje się człowiekiem. Staje w progu... poznaje Małgorzatę; chwilę milczy nieruchomy bez tchu, jakby mu stopy wrosły w ziemię; potem wyciąga ku niej ręce, mówi słumionym głosem:

(1) Małgorzata miała lat 46, Ottokar 23, kiedy się połączyli.

Tyżes to królowo?

Więc tyś umarła, i w godzinie skonu  
Z ust twych nie zbiegło przebaczenia słowo?

*(postępuje ku niej kilka kroków).*

Duszo pobożna! do Bożego tronu  
Posłaś ze skargą za te łyzy goryczy,  
Które z twych oczu pociekły przezemnie!  
Bóg sprawiedliwy może łyzy te liczy.  
I grom przekleństwa gotuje mi za to!  
Gromu z niebiosów nie wzywaj daremnie:  
Tyś już pomszczona biedna Małgorzato!  
Losy dni moich okrutnie się mienia,  
Zmarniały bujne mych posiewów plony!  
Niby strząśnięty z drzewa liść jesienią  
Wszystko com zebrał uniósł wiatr szalony.  
Gwiazda méj doli zagasiła w pomroku,  
Sam dziś zostałem na tej pustej drodze:  
Kto mnie pocieszysz? kto stanie u boku?

*(zbliża się bardziej jeszcze).*

Oni mnie wszyscy skrzywdzili tak srodze;  
Niewdzięczność głowę podniosła zuchwałą,  
Pierś mi przygniotła twarde bólu brzemię.  
Ci których serce moje ukochało,  
Ci mnie zdradziecko rzucili o ziemię,  
I ta kobieta niekczemna, dla której  
Ciebie porzucił wierna Małgorzato,  
Pierś moją szarpie krwawemi tortury,  
Plami cześć moją własnej czei zatrąć;  
Gdym wrócił z boju, na świeże me rany  
Bluzgała jadem ta zmija obrzydła,  
Biezem szyderstwa z mych progów wygnany,  
Wpadłem na oślepe w te zdradzieckie siidła,  
Co je oplotła śmierć wkoło méj głowy.

*(kłęka przed trumną).*

Ty! coś mi była pociechy aniołem,  
Wyciągnij martwą dłoń z trumny dębowej  
I znamię krzyża nakreśl mi nad czołem.  
Czas Małgorzato, czas... może w tej chwili  
Straszny się wyrok nademną dokona,  
Już śmierć się zbliża, przecucie nie myli:  
Ty pobłogosław mnie błogosławiona.

*(kładzie głowę na poduszce przy głowie umarłej).*

Przecucie nie omyliło. Ottokar pogląda z daleka na walczących. Obraz ostatniej klęski kruszy do reszty jego pychę. Prawda jasno staje mu przed oczyma.

*(Ottokar przyglądając się bitwie).*

Słabo się biją Czechy! mdleje ramie  
 Gdy serce schłodło, gdy duch rozkiełznany,  
 Lecz Styryjczycy! ale Rakuszyani.  
 Dawniej leniwi... jakąż moc ich złamię.  
 Dziś w bohaterów zmienili się cudem,  
 Walczą zacięcie jak lwy!.. wiedzą za co!  
 Miecz ich zaciężył nad mym biednym ludem,  
 Dzień to rachunku... oh! płacą mi, płacą!  
 Żłem ja, mój Boże, na ziemi żył Twój, ję,  
 Istny uragan jam wstrząsł ję posady,  
 Miotał w ję łono piorunem zagłady.  
 Wszak Tobie Panie samemu przystoi  
 Po ziemi burze siać i uragany,  
 Bo Ty masz balsam na sere ludzkich rany!

(*po chwili*):

Jam nie chciał złego. Ty wiesz o tém... ale  
 Czémże ja byłem, abym robak marny  
 Twojemi ślady śmiał zdążyć zuchwale,  
 Odradzać ludzkość w zdrojach krwi ofiarnej?  
 Jam ku dobremu wiódł ją... szlaki złem!  
 Człowiek Twój ręki dzieło, Boże dziecie,  
 Cel Twój miłości, ten światek w wszechświecie,  
 Coś go cudownie zlepił z mułu ziemi,  
 Z czołem wysokim, szyją podniesioną,  
 Coś go przystroił piękności koroną,  
 Jako Twój obraz... człowiek, ten cud żywy,  
 Opatrzon w zmysły, uczuciem szczęśliwy.  
 Co gdy pokarmem mdłe ciało podsycą,  
 Gdy siła czynna raz się w nim poruszy,  
 Z komórek serca snuje nie żywota,  
 Cudne przedziwo wciąż mota i mota,  
 Aż mały domek zbuduje dla duszy;  
 Jakąż na ziemi królewska stolica  
 Wspanialszym blaskiem nad on domek świeci?  
 A jam powalił tych świątyń tysiące!  
 Jam je zamiatał jak plugawę śmieci,  
 Ciał je w pokosy jak trawę na łące!  
 G'woli mój pysze, mój chuci szalonej,  
 Tylu ich padło! a każdy w boleści  
 Zrodzon przez matkę, ubłogosławiony  
 Drżącą ję ręką, do piersi niewieściej  
 Stokroć przytulon boleśnie i łzawol...  
 Każdy miał ojcu być wsparciem i sławą.

(*z coraz bardziej wzrastającym uczuciem*).

Jezeli kiedy wbrew troskliwój pieczy,  
 W paluszek tylko dziecko się skaleczy;  
 Jeśli przypadkiem, choć rana nie wielka

Zrumieni rączkę drobna krwi kropelka:  
 Truchleje matka, i łyzy jej gorące  
 Płyną nad synka złotowłosą głową:  
 A jam téj dziatwy powalił tysiące!  
 Trupami drogę jam uścięłał nową  
 W szlaki przyszłości!.. jam chwały nie syty  
 Szarpał te ciała końskiemu kopyty.

*(po chwili podnosząc ręce ku niebu).*

Boże! mój Stwórco! Oh, jeśli już w niebie  
 Sąd Twój nad grzesznym zapadł Ottokarem,  
 Uderz.. lecz niechże w proch się nie zagrzebie  
 Cześć mego ludu, pod mych win ciężarem;  
 Pychy mnie widma spętały złowieszczę...  
 Lecz z woli własnej skrzywdziłem ja kogo?

*(zastanawia się głęboko).*

Tak, raz jedyny... i potem raz jeszcze!  
 Śmiertelne męki mnie strwożyć nie mogą...  
 Jeślim ja z serca wyrwał to wyznanie,  
 Wstrząsłaz mnie trwoga?.. Ty czytasz głęboko  
 Mysł w sercach ludzkich, zwiódłżebym Cię Panie;  
 Lecz jeśli Bożkie raduje Twe oko  
 Obraz człowieka, co w serdecznej skrusze  
 Ogniem pokuty wypaloną duszę  
 Składa bez trwogi przed Twym wiecznym tronem,

*(kłęka):*

Patrz, oto klęczę pokorny i wierny,  
 Czekam wyroku z czołem pochyloném,  
 Osądź jak Ojciec... jak Bóg miłosierny!

*(pochyla głowę z głęboką pokorą).*

Ostatnia to spowiedź czeskiego bohatera. W téj chwili przybiega Zejfryd, syn starego Merenberga, zamordowanego w więzieniu — Ottokar ginie z jego ręki.

Gdyby Grillparzer nie innego nie utworzył oprócz Ottokara, już i tak dałby dowód prawdziwego geniuszu, to jest téj siły która umie ześrodkować i scharakteryzować w formie przystępnej dla wszystkich, nowe zagadnienia. Należy on do tych nielicznych myślicieli, którzy przeczuili nowy prąd historyi ludów europejskich, w walkach o zasady narodowości; myśli jakie poeta sformułował już w r. 1823, w lat dwadzieścia kilka dopiero podniesione zostały przez uczonych i polityków. Przypomnijmy sobie, że w r. 1848, uczony archeolog Chmiel przedstawił ocenienie wzajemnych stosunków Ottokara i Rudolfa, a raczej Słowian i Niemców, jako pytanie konkursowe, w wydziale historycznym akademii wiedeńskiej.

Mówiliśmy nie dawno o ostatniem dziele profesora St. René Taillandier p. t. *Dramata i powieści z życia literackiego*. Obok obrazu dwóch excentrycznych kobiet, hr. Ahlefeldt i Karoliny Stieglitz, autor stawia nam przed oczy, najexcentryczniejszą ze wszystkich postać Henryka Kleista, wielkiego poety, z czasów ostatniego odrodzenia literatury niemieckiej, w kierunku romantycznym. Szczególna to osobistość, pełna dziwacznych sprzeczności. Był on z kolei żołnierzem, prawnikiem, urzędnikiem, poetą dramatycznym, filozofem, publicystą. Niekiedy znikał zupełnie z widnokręgu społecznego; uciekał przed ludźmi, zamykał się w chacie wieśniaczej, i pojawiał się znowu, przynosząc z dobrowolnego wygnania, utwory wymarzone w samotności, często kroć ciemne i chorobliwe, a przecież nacechowane połyskami geniuszu.

Prace poetyczne Kleista kilkakrotnie były wydane. Najsłynniejsi krytycy niemieccy: Ludwik Thieck, Teodor Mundt, Gerwinus, Hildebrandt, badali je wszechstronnie z ścisłością prawdziwie niemiecką. W r. 1848, Edward Bülow napisał obszerny życiorys poety, i ogłosił jego korespondencye. Dziś nakoniec, w sześćdziesiąt lat po śmierci Kleista, przygotowano w Berlinie nowe wydanie wszystkich prac literackich.

Należy on jak widać do tych Czerwantesów, Kamoensów, Chattertonów, Gilbertów, do których i my policzymy naszego Klonowicza, których geniusz tém jaśniej przyświeca, im bardziej oddalamy się od ich ponurej i chorobliwej osobistości.

Urodzony w Frankfurcie nad Odrą, w r. 1776, w dzieciennych latach osierocony po ojcu, młody Henryk pobierał nauki w Berlinie. Mając lat dziewiętnaście zaciągnął się do wojska. Wesół, dowcipny, pełen odwagi, zawołany muzyk, umiał zyskać serce kolegów. Odbывał kampanię w r. 1795; nikt wówczas nie dostrzegł w nim najmniejszych śladów tej gorzkości, która miała zatruć mu życie i doprowadzić go w końcu do szaleństwa.

Choroba moralna objawiała się dopiero około dwudziestego drugiego roku. Jaki był jej powód? Zostało to zagadką. Wiadomo tylko że młody oficer trawiony już czarnym smutkiem, wziął się gorliwie do badania filozofii Kanta. Doktryna ta stoicka i sceptyczna zarazem, nieodpowiadała zgorączkowanej wyobraźni poety. Młodzian szukał urzeczywistnienia ideału na ziemi, gonił za prawdą absolutną; mistrz królewiecki tymczasem, uczył go, że dano nam tylko na ziemi ścigać fenomena, i że te nawet fenomena, tak jak je pojmujemy, nie są wiernym obrazem rzeczywistości. Kant uczył go, że my sami narzucamy formę własnej inteligencji, tak zmysłom jak i myślom naszym; że przez to samo, rzeczywistość, substancja, *rzecz sama w sobie* (*das Ding an sich*), wymyka się niedostępna badaniom ludzkości. Uczeń powstawał przeciw wyrokowi mistrza, szukał uparczywie tej substancji, niedościgłej rozumem, i wpadał w rozpaczliwy sceptycyzm.

Po czterech latach służby wojskowej, Klejst zażądał dymisyi. Otrzymał ją, i oddał się naukom matematycznym w frankfurekim Uniwersytecie. Wtedy pokochał młodą panią Wilhelminę Zenge. Listy które pisywał do niej przez czas długi, należą do osobliwych zjawisk psychicznych.

Biedna dziewczynka naiwna, pełna poświęcenia, istna Grethen Goetego, musi ciągle znosić pedantyczne perory. Klejst usiłuje rozczerować jej umysł, odrzec jej serce z wszelkiej nudy; przedstawia jej świat i ludzi w najczarniejszych barwach. „Za lat pięć—pisze do niej—próba będzie skończona, dzieło stanie się doskonałem. Wtedy będziesz dla mnie żoną jakiej pragnę, i jaka uszczęśliwić mnie zdoła. Za lat pięć znajdę swój ideał urzeczywistniony na ziemi. Nie żądałbym od lili żeby wybujała w górę jak cedr Libanu, nie zakreślałbym gołąbce lotów orlich, ani wykładał posągu z miękkiego płótna. Znam wartość materiału. To mieszanina spizu i czystego złota; potrzeba tylko oddzielić kruszec od szumowin!”

I cóż przeszkadza Klejstowi do poślubienia narzeczonej? Oto potrzeba wprzód obojgu wydoskonalic się moralnie. „Pracujemy oboje—pisze pedagog do przyszłej żony—wyrabiamy w sobie szczerę złotą; zdobądźmy naprzód tę cnotę, potem tamtą i ową, a posiadłszy je wszystkie z osobna, szukajmy tej wielkiej cnoty, której nazwisko nieznane, a której widmo ściga mnie bez ustanku.

Wilhelmina zdziwiona taką zwłoką, pyta naiwnie narzeczonego, czemu wychowanie człowieka wymaga tyle czasu, kiedy inne żywe istoty poznają prędko cel swego przeznaczenia?

„Im twój doskonalszy—odpowiada na to filozof—tęm dłużej wyrabia go przyroda. Jeden polysk słońca rozwija kwiat na łące, dąb rośnie pół wieku, zaczętem przyjdzie do dojrzałości.”

Ta oczekiwana dojrzałość, nie miała nigdy stać się udziałem chorobliwego umysłu marzyciela. Duch niespokojny popędził go do Francyi. Przybył tam w r. 1801, z zamiarem głoszenia teoryi kantowskich, mimo że czuł całą ich niedostateczność. Nie była to pora na taki prozelityzm; Francuzi słuchali go obojętnie. Wkrótce też uczeń mistrza królewieckiego, obrał sobie innego przewodnika: był nim Jan Jakób Rousseau.

Pod wpływem marzyciela z Genewy, Klejst postanawia zerwać ze społeczeństwem, zamierza osiąść jako prosty wieśniak w jednym z najodludniejszych kantonów szwajcarskich, i tam pędzić życie, zdaleka od świata i ludzi. Przywiązana Wilhelmina gotowa podzielać z nim losy. Odczytała *Marzenia samotnego wędrowca* (J. J. Rousseau), ma nadzieję że to życie proste, pracowite, na łonie przyrody, jakie filozof-marzyciel opisał z takim urokiem, uspokoi wrzeszczący chorobliwy umysł narzeczonego.

Ale Henryk Klejst dziwne ma wymagania. Przyzwolenie Wilhelminy nie wystarczy mu wcale; żąda aby nie wspominając nikomu o zamiarze, opuściła tajemnie dom rodzicielski. Uleżała się biedna, sama nie wie co czynić; z jednej strony radaby szcze-

rze uleczyć duszę chorą, a tak jej drogą; z drugiej strony maż zasnąć serce starego ojca? maż opuścić dom i rodzinę i zniknąć gdzieś bez wieści? Waha się.. kto wie.. może ulegnie w końcu! Klejst tymczasem zniecierpliwiony, rozgniewany wahaniem zrywa na zawsze z narzeczoną.

Henryk Klejst opuścił Paryż z końcem 1801 roku. Przybywa do Szwajcaryi. Tam twórcza siła natchnienia budzi się w piersi jego; poznaje drogę jaką iść powinien; porzuca abstrakcyjne filozoficzne a z całym zapałem rzuca się do poezyi. Wówczasto poznaje młodego Wielanda i Henryka Zschokke; zawiązuje z nimi przyjacielskie stosunki. Obaj ci pisarze określają go, jako człowieka dziwaczного umysłu, lecz pełnego szlachetnych i wzniosłych uczuć. Idąc za radą przyjaciół, poczyną snuć wątek z własnej wyobraźni. Pisze nasamprzód tragedję: *Rodzinę Schrofferstein*, następnie komedję *Dzbanek stłuczony*. W końcu 1802 roku, powraca do kraju, zwiedza po drodze dwa ogniska literackie, w których zestrzelił się wtedy cały ruch umysłowy Niemiec: Jenę, wslawioną pobytom Schellinga, Fichtego, i dwóch Schległów; Wejmar gdzie panują Szyller i Goete.

Widok Klejsta w przykry sposób oddziaływał na Goetego. Geniusz wielkiego poety, wyleczony od dawna z chorobliwych mrzonek Werterowskich, przyszedł już do krzepkiej dojrzałości, i opłynał już sam siebie, a mówiąc językiem naszego Reja zmierzył się własną piędzą. „Z dreszczem oburzenia”—jak się wyraża Goete w pamiętnikach,—patrzył on na ten zgorączkowany umysł, na ten piękny utwór przyrody, do wzniosłych przeznaczony celów, a dotknięty nieuleczoną chorobą.”

Stary Wieland, autor Oberona, osądził go z większym poślazaniem. Nie zrażony dziwactwem młodego poety, zatrzymał go też parę miesięcy przy domowym ognisku swoim. Natchnienie twórcze szarpało umysł młodziana, przyprowadzając go często—kroć aż do szału. Wieland uderzony nadzwyczajnym jego roztrągnięciem, dopóty wypytywał o powód, aż w końcu Klejst przyznał się, że pracuje nad dramatem. Miał on w myśli, tak podniosły ideał, że nie mógł ująć go w formę słowa. Cokolwiek napisał szło w płomień.

Bohaterem dramatu miał być Robert Guiskard. Na prośby Wielanda, Klejst odczytał mu kilka ustępów. Zobaczmy oto jak autor Oberona, starzec wystygły z młodzieńczych uniesień, ocenia tę genialną pracę:

„Gdyby—mówi on—duchy Eschyleśa, Sofoklesza i Szekspira połączyły się razem, i chciały utworzyć tragedję, ta chyba tragedja wyrównałaby Guiskardowi Klejsta, o ile sądzić mogę, ze znanych mi urywków. Odkąd je poznałem, pewien jestem, że Henryk Klejst powołany na to, aby zapełnić tę wielką próżnię, której nie zapełniły jeszcze w literaturze naszej, utwory Szyllera i Goetego. Łatwo ztąd wnosić z jakim zapałem zachęcałem go do dalszej pracy.”

I Wieland i Goete nie mylili się w sądach. Henryk Klejst był wielkim poetą, a zarazem szaleńcem. Poeta utworzył z miłością *Guiskarda*; szaleniec zniszczył arcydzieło, w chwili gorączkowego obłądku.

Z Wejmaru pospiesza Klejst do Drezn, pracuje tam czas jakiś w samotności, ale niepokój wewnętrzny szarpie go bezustannie. W towarzystwie przyjaciela swego Phuela, zwiedza znowu Szwajcaryę; przedziera się za Alpy do Lombardyi. Wówczas opanowany myślą samobójstwa, postanawia raz skończyć z życiem. Phuel z całą siłą przyjaźni, odwołuje go od rozpaczliwego zamiaru. Przybywają razem do Paryża. Dnia jednego Klejst zapowiada stanowczo, że chce, że musi umrzeć. Oburzony na towarzysza, który zowie samobójstwo nieczemnością i tchórzostwem, zrywa nagle związki dawniej przyjaźni. W chwili szału, pali wszystkie papiery swoje, a między niemi ową sławną tragedję: *Robert Guiskard*, którą Wieland nazwał nieporównanem arcydziełem, i dwa inne dramata: *Piotra Pustelnika* i *Leopolda Rakuskiego*.

Z silnem postanowieniem samobójstwa, pragnie wprzód jeszcze pożegnać kraj rodzinny. Pospiesza na Strasburg do Niemiec; choroba zatrzymuje go w Moguncyi. Przez pół roku nie daje znać o sobie. Zniknął bez wieści dla krewnych i przyjaciół. W tym czasie poznał córkę pastora z Wiesbaden. Serce jego potrzebowało tkliwszych uczuć, ale chorobliwy sceptycyzm zabijał w sercu kwiat ledwie rozwinięty. Pragnął a nie mógł kochać. Ze wszystkich udręczeń to było najsroższem, to doprowadzało go do szaleństwa. Znienawidził sam siebie; ukrywał się przed ludźmi. Wieland utrzymuje, że pracował wtedy jako prosty robotnik, przy warsztacie stolarza w Koblency.

Mniemano, że umarł, kiedy przybył nagle do Poczdamu. Jednej nocy zapukał do drzwi przyjaciela swego Phuela. Ulegając życzliwym radom, zabrał się gorliwie do nauk ekonomicznych. Wkrótce otrzymał posadę w Królewcu roku 1805.

Zatrudnienia biurowe pozwalały mu zajmować się poezją. Wykończył wtedy komedję *Stłuczony dzbanek*, napisał tragedję *Penthesileę* i kilka powieści nadzwyczaj oryginalnych. Z tych *Michał Kalchaas* uchodzi za prawdziwe arcydzieło. Dramat *Rodzina Schroffenstein*, drukowany był już przed dwoma laty.

Utwór to gwałtowny, i dziwaczny, ale przenikniony na wskroś gorącym technieniem poetycznem. Rzecz dzieje się w Szwabii w średnich wiekach. Widzimy tu dwie gałęzie jednego domu, rozdzielone nieprzebraganą nienawiścią. Rupert i Sylwester *Schroffenstein*, jak Montechi i Kapuletti Szekspirowscy, poprzysięgli sobie krwawą pomstę. Mimo nienawiści rodowej, dzieci ich kochają się gorącą miłością jak Romeo i Julietta. Jeżeli pomysł dramatu nie zupełnie nowy, za to język w nim pełen prostoty i oryginalności, charaktery zarysowane po mistrzowsku, akcja rozwija się z niesłychaną potęgą.

W komedyi *Dzbanek stłuczony*, Klejst okazał się wybornym komikiem. Jest to flamandzki obrazek w rodzaju Teniersa. Na teatrze weymarskim pod dyrekcją Goetego długo odgrywano tę komedya, która dziś jeszcze należy do arcydzieł dramatycznej sztuki niemieckiej.

Dramat *Penthesilea* nakreślony płomienistemi zgłoskami, okazuje całą potęgę twórczą Klejsta. Penthesilea była jak wiadomo królową amazonek. Tradycye greckie o tych rycerskich dziewczicach nadzwyczaj są sprzeczne i zawikłane. Poeta miał prawo brać je i przerabiać według własnej fantazyi. Co lat trzy na rozkaz Marsa, amazonki Klejsta wychodzą szukać małżonków z mieczem i głownią w ręku. Rycerzy ujętych w niewolę, prowadzą one do stolicy swojej Temisycry; tam w świątyni Dyauny wieńczą je w korony z róż, i po dwudniowych uroczystościach wyprawiają ich do kraju. Królowa tych dziewic piękna Penthesilea, pragnie poślubić Achileśa. Dosiada konia i na czele dzielnych towarzyszek pędzi cwałem pod mury Troi. Zastępy greckie pierzeją na widok amazonek; Ulyses i Diomed pokonani, Achilles trzyma się mężnie; walcząc z młodą królową, rani ją i omdlałą unosi do obozu. Tu wśród burzliwych obrazów wojennych następuje scena pełna rzewnego uczucia. Widzimy Achileśa u stóp królowej; piękna amazonka muiema, że zwyciężyła, on pozostawia ją w tém złudzeniu. Nie jestże w samej rzeczy pokonany? Patrzymy tylko z jakim zapałem pogląda w oczy bohaterki. Penthesilea opowiada mu historya amazonek, wyznaje mu śmiało, że słysząc o jego waleczności i urodzie, wyszła z orężem w ręku, obyczajem rodu swego, aby zdobyć na małżonka Achileśa równego bogom. Dziwnie to uroczy dyalog, w słowach Penthesilei wdzięk połączone z dzikością, rozsiewa jakby woń starożytnej Hellady.

Nagle amazonki, które poprzysięgły oswobodzić królowę z niewoli, powracają istne furye; burząc wszystko po drodze docierają do namiotu Achileśa. Bohatér zmuszony uciekać, lecz on kocha królowę; on pragnie dostać się pod jej jarzmo. Wyzywa ją do boju, chce być pokonanym, a potem zaślubić ukochaną. Penthesilea tymczasem bierze na seryo wyzwanie; mniema, że Achilles szuka zemsty, że posiadając jej tajemnicę, gotów nadużyć jej słabości. Wpada w szalony gniew; podczas gdy syn Tetydy stawia bezbronny do boju, uderza nań z łukiem w prawicy, otoczona sforą psów gończych. Achilles ugodzony strzałą w piersi, pada na ziemię u stóp amazonki.— „Penthesileo! co to znaczy?— woła— takąż to ucztę róż przyrzekłś obłudnińcowi twemu?” Lwica zgłodziła—mowi poeta—uczulaby litość posłyszawszy tę skargę, ale ona pijana krwią, wściekła jak one psy, które podżęga harapem, rzuca się nań; własnymi rękoma i zębami szarpie na kęsy jego ciało.

Ta demoniczna poezya, wiernie wyraża stan duszy poety, w chwilach najburzliwszych życia. Klejst w Penthesilei, uosabia namiętność i niepokonane jej prawa nad człowiekiem. Zrazu la-

godna i cicha, dopóki pewna tryumfu, śpiewa i wieńczy się różami, istna to idylla wiosenna! ale skoro zawiodła się w nadziejach, kiedy zaczyna wątpić, podnosi głowę, wpada w wściekłość: idylla staje się tragedją!

W powieści psychicznej Klejst okazał się również wielkim mistrzem. Krytycy stawiają jego *Michała Kohlhaasa* na równi z *Goetzem z Berlihangen* Goetego. Przedmiot podobny także, tylko, że Kohlhaas nie jest rycerzem ale prostym wieśniakiem. Wierny to typ ludu niemieckiego. Pokrzywdzony srodze przez feudalnego barona, w czasach gdy prawa milczały, Kohlhaas zmuszony sam wymierzyć sobie sprawiedliwość, z uczciwego i spokojnego człowieka, staje się rozbójnikiem i mordercą. Autor nie naśladował bynajmniej Moora Szyllerowskiego; utwór jego zupełnie oryginalny. Krytyka dzisiejsza uważa w Kohlhaasie Klejsta, jeden z najdoskonalszych typów poezyi niemieckiej.

Mimo rzeczywistej wartości tych prac, imie autora przeszło nieznanie prawie dla współczesnych. Powodem tego były klęski jakie spadły gradem na pruskie kraje. W roku 1807 po bitwie pod Eilau, poeta sam uległ dziwnej przygodzie. Dnia jednego gdy wracał o zmroku do Berlina, zatrzymany został przez patrol francuzkie; a wzięty za organizatora wolnych strzelców, uprowadzony był do Francyi i osadzony w zamku Joue.

W tymże zamku, u podnóża Alp siedział niedawno Toussain Louverture. Pamięć sławnego murzyna żyła jeszcze wśród więźniów. Pod wpływem tych wrażeń napisał Klejst jedną z najdramatyczniejszych powieści swoich: *Zaręczyny w St. Domingo*. Krwawy ustęp z powstania czarnych. Prawdziwie czarny to obraz. Demoniczna potęga cięży złowrogo nad ludzkością i tamuje rozwój wolnej woli jednostek. Tenże sam duch rozpaczliwy, piętnuje wszystkie ówczesne powieści autora.

Z zamku Joue, przeniesiony do Chalons, Klejst w roku 1808 powrócił nareszcie do Niemiec. Zamieszkał w Dreźnie, w domu poety Körnera. Tu znów poznał młodą panienkę, pokochał ją po swojemu, a widząc przychylność jej dla siebie, żądał jak niegdyś od Wilhelminy, aby zerwała na zawsze ogniwa łączące ją z rodziną, i uciekła z nim potajemnie. Panienka odrzuciła twardy warunek. Pod wpływem tej przygody, napisał Klejst dziwny, poetycznie chorobliwy dramat p. t.: *Katarzyna z Heilbron*.

Rzecz dzieje się w średnich wiekach. Za podniesieniem zastłony widzimy głęboką pieczarę; zasiadają w niej sędziowie tajemniczego trybunału *Weh-me*. Theobald Friedebora, płatnerz z Heilbornu, oskarża hrabiego Fryderyka Strahl o czary rzucane na córkę jego Katarzynę. Biedna dziewczyna żyje pod jarzmem cudzej woli. Kocha ona bezwiednie hrabiego Fryderyka, nie zdając sobie sprawy z własnych uczuć, jakby porwana jakąś potężną a tajemniczą siłą. Hrabia Strahl nie jest przecież czarnoksiężnikiem jak go oskarża stary płatnerz. Przeciwnie odpędza on Katarzynę od bo-ku swego; postępuje z nią okrutnie, zagraża nawet chłostą. Kata-

rzyna znosi to wszystko; towarzyszy mu w każdej podróży. „Stopy jej, mówi hrabia, deptają bezustannie ślady stóp moich; kiedy obrócę głowę, dostrzegam zawsze dwa przedmioty: cień mój i tę dziewczynę.”

Sąd niewinnia hrabiego. Katarzyna chodzi znów za nim niezwalczoną porwana siłą.

Ta zaklęta dziewczyna, czysta, niewinna, pełna poświęcenia, baczna na każde skinienie pana, szczęśliwa gdy go widzi i słyszy, gdy mu służy, gdy cierpi z nim a nawet przez niego, to ideał kobiety według Henryka Klejsta. Takiej to biernej uległości, takiego zaparcia woli własnej, żądał on dla siebie od Wilhelminy, i narzeczonej z Drezna.

Poeta ozdobił wymarzony swój ideał, pełnym urokiem wdzięku i niewinności. Każde słowo Katarzyny technicznie anielską dobrocią i słodyczą. Jakimże sposobem przyszła ona do tak pełnego wyrzeczenia się woli własnej? Wypadkiem nadprzyrodzonym. Duch z nieba wniósł się w tę sprawę. Dnia jednego gdy hrabia Strahl, chory był na gwałtowną gorączkę, anioł wziął duszę jego, poniosł ją na skrzydłach do Katarzyny, i we śnie ukazał jej tę duszę oblubieńca. Rzecz wyjaśnia się dopiero w piątym akcie.

Ów dramat przypominający mistyczne utwory Kalderona, odgrywany był długo na teatrach niemieckich. Ale pomimo rozsianych w nim pereł poezji, pomimo oryginalności pomysłu, i zalet wysoko dramatycznych, czuć że jest utworem chorobliwej i obłąkaney szaleń fantazyi.

Wkrótce po napisaniu tego dramatu, Henryk Klejst zażył truciznę. Uratowany i otoczony tkliwem staraniem przyjaciół. począł okazywać co raz widoczniejsze ślady obłąkania. Po gwałtownych napadach, przychodziły jednakże chwile nagłego wytrzeźwienia umysłu. W jednej z tych chwil napisał dramat p. n. *Walka Hermana*. Jestto okrzyk zemsty przeciwko Napoleonowi; odezwa do książąt Rzeszy niemieckiej, przymuszonych walczyć pod chorągwią francuską. Starożytna Germania, którą Klejst wyprowadza na widowie, równie podzieloną była jak Niemcy w r. 1808. W naczelnikach pokoleń, których polityka rzymska używała do celów swoich, poeta wyobraża królów saskiego, bawarskiego i wirtemburskiego: Herman i Marbod to Prusy i Austria.

Cały dramat technicznie gwałtowną nienawiścią ku zwycięzcom. Autor uniknął jednak monotoności; urozmaicił sceny pełnemi życia wypadkami. Wybornie wymyślane poselstwo Wentidysza, którego Warus wyprowadza do Hermana księcia Cherusków. Zabiegi Hermana aby wprowadzić Warusa w zasadzkę, nie dają może wiernego obrazu pierwotnej Germanii, ale widzimy w nich gwałtowną rozpacz Niemców z 1808 roku.

Poeta w nienawiści ku wrogom chwytą najdziwaczniejsze pomysły. Jeden z nich przechodzi wszelką miarę. Żona Hermana,

Fasuelda obudziła szaloną miłość w Wentidyusza. Otóż na dzień przed zamierzonym wytypowaniem legionów rzymskich, Germanka naznacza godzinę schadзки świetnemu patrycyuszowi w ogrodzie za namiotem Hermmana. Wentidyusz nadbiega z radością i coś spotyka w ogrodzie księżnej Cherusków? oto wygłodzoną niedźwiedzicę, która zatapia w nim pazury. Obraz ten nie raz w poważnej opowieści Tacyty, ale na scenie przedstawia się wstrętnie i dziko.

Dramat nie był grany w r. 1808, wydrukowano go dopiero po śmierci autora. Ale rękopism przebiegał z rąk do rąk, i nie mało zapewne przyczynił się do podniesienia zapału narodowego. W następnym roku Austria chwytła za oręż, Tyrol w ogniu, Kleist biegnie na gwałt do Pragi, tworzy wojenne pieśni, powołuje całe Niemcy do boju.

Pieśni Klejsta nie ustępują lirycznym utworom, którym Körner zawdzięcza sławę w r. 1813. Ale dawne jakieś nieszczęście szło w ślady za poetą. Kiedy po skończonej wojnie wrócił do Prus odczytywał raz jednego siostrze Wilhelminy, niektóre z tych maleńkich arcydzieł.

— Jakież to piękne wiersze! Kto je pisał?—zapytała młoda kobieta.

Te słowa ugodziły go w serce.

— Biada mi!—zawołał z rozpaczą.—Wszystko napróżno cokolwiekbyś uczynił. Nikt mnie nie zna! imię moje maź przebrzmieć bez wieści?

Do tych udręczeń miłości własnej, przyłączyły się inne wywołane ogólną klęską. Pokój presburski był w oczach poety prawdziwą ohydą Niemiec. Wówczas napisał ostatnie dzieło, dramat rycerski p. t. *Książę Homburga*.

Książę jest generałem wojsk pruskich. W bitwie przeciwko Szwedom, postąpił wbrew rozkazom naczelnego wodza Elektora Brandenburskiego, i odniósł najchlubniejsze zwycięstwo. Bez tego pogwałcenia wojskowej powinności, ojczyzna byłaby zgubioną. Zuchwały rycerz jestże w istocie winowajcą? Sąd wojenny podpisuje wyrok śmierci; ale uczucie słuszności silniejszem jest od prawa. Sumienie narodu łamie nieprzeblągany wyrok: książę Homburga ocalony. Piękny to dramat, mimo że poeta popsuł efekt wprowadzając bez potrzeby sceny somnambulizmu.

Przyjaciele Klejsta, widząc go na drodze wytrwałej pracy, cieszyli się z odrodzenia tego umysłu pełnego siły twórczej.

— Henryk Klejst ocalony!—wołali z niewymowną radością. Niestety, chwila szalu złamała odrazu ich nadzieje.

Poeta poznał w Berlinie młodą kobietę Henryetę Vogel, trawioną jak on nieuleczoną chorobą moralną. Znudzona życiem obudziła w nieszczęśliwym zapomnianą chęć samobójstwa.

— Czy jesteś doprawdy przyjacielem moim? czy jesteś gotów oddać mi usługę jakiej od ciebie zażądam?—zapytała dnia jednego Henryeta.

— Rozkaż tylko a wszystko uczynię—odparł Kleist—daję ci na to moje słowo!

— Posłuchaj więc — dodała z wahaniem—ale gdybyś mnie zawiódł, powiedziałabym że nie ma już człowieka na ziemi!

— Jestem człowiekiem, nie zawiódę ufności twojej, zaręczam.

— A więc przyjacielu zabij mnie!—zawołała z radością obłąkana.

W kilka dni potem, oboje najętym powozem wyjechali z Berlina w okolicę. Zatrzymali się w oberży o milę od Poczdamu. Pisali długo listy, pili kawę, poczem przechadzali się swobodnie po łące ponad jeziorem. Nagle dały się słyszeć dwa strzały; ludzie pospieszyli co żywo ku tej stronie. Znaleźli kobietę leżącą pod drzewem, ugodzoną w samo serce; u stóp jej klęczał mężczyzna z roztrzaskaną głową. Było to 20 listopada 1811 roku.

Henryk Kleist nieznany prawie współczesnym, miał dopiero za dni naszych zajęć w literaturze niemieckiej, należące mu stanowisko. W lat kilka po śmierci poety, Ludwik Thieck jak powiedzieliśmy wyżej zebrał i wydał jego prace wraz z ich krytycznym rozbiorem. Wówczasto romantycy i poeci-filozofowie, poczęli badać z upodobaniem, te utwory prawdziwie genialne, mimo chorobliwego szafu jaki się na nich wypiętnował.

Dla wielu późniejszych poetów był on mistrzem i wzorem. Ślady geniuszu jego wyraźnie odbijają w powieściach fantastycznych Hoffmana, w dramatach Immermana, w sztukach teatralnych Chrystyana Grabbe. Sławni nawet poeci dramatyczni dzisiejszych czasów, Franciszek Grillparzer i Fryderyk Hebbel, oraz znakomity powieściopisarz Otto Ludwig, silnie ulegli wpływowi tego potężnego geniuszu tak nieocenionego w swoim czasie.

Kleist jest wiernym uosobieniem ówczesnych Niemców. Rozbici, upokorzeni, zgorączkowani, szukają nowych sił w mistycyzmie, który nie zaspokaja, przeciwnie nawet, doprowadza wielu z nich do rozpaczliwego szafu i samobójstwa.

---

W zeszłej korespondencji zapowiedzieliśmy ogłoszenie dwóch listów Zygmunta K. Jeden z nich pisany do matki *Ewuni* znaną już czytelnikom naszym, drugi do niej samej. Każdy list takiego człowieka nie jestże droгим zabytkiem dla literatury krajowej!

Oto list pisany z Rzymu do hrabiny, w roku 1837.

„Byłem sam u księdza Kozackiewiczza, i oddałem szkuda, i msza przed obrazem u Augustyanów odmówioną jest. Księżna Czar..... mówiła że będzie do pani pisać, a że nie pisała to pochodzi z bólu w ręce, ale że zawsze najszczerzą jest przyjaciółką.

„Cóż mam więc donieść pani? nikogo nie znam, nikogo nie widuję; na wieczory, na bale nie chodzę. Oczy mnie mocno bołą, często nic nie robię, wkrótce przestanę myśleć, ale co wiem, to że codzień żałuję, że pani z tą wyjechała, i kiedy ten długi wieczór nadchodzi, który ja zwykle przeleżeć muszę na kanapie, klęę złym losom że panią z Rzymu uniosły. Do Neapolu dopiero w lutym pojedę. Za kwiatki tysiąc dzięków. Pan Józef Kr..... odda pani *Les pelerins* i Agay-Hana sprostkuje.

„A teraz cóż dalej. Prawdziwie nic nie umiem powiedzieć a frazesów nie chcę gadać bez myśli. Żeby tam pani donieśli kiedyż zem mnichem został, tak jak Bratti co się Benedyktynem zrobił przed tygodniem. Ja i Abbate Bratti, jednem oba porwani przeznaczeniem! A co? Albo żeby donieśli zem zwaryował, i toby był bardzo ozdobny koniec mojego znakomitego zawodu. Tymczasem świat się bawi w starym Rzymie, tańczują Angielki, kochają się Francuzi, bileciki latają tu i owdzie z przysięgami, obietnicami, zazdrościami etc. etc. Stary Aigner nawet ma co robić (1), pisze arcyważne dzieło: O kapitelach kolumn uważanych w ich wpływie na politykę XIX wieku. Hr. Dunin jeździ i wizyty oddaje. Wie zapewne pani że Ogiński umarł we Florencyi (2).

„Teraz o to tylko proszę panią, byś zawsze równem okiem patrzała na mnie, i była pewną że ja nigdy nie zmienię się w uczuciach, które mam względem niej i domu jej. Pannie H. (Ewuni) moje uszanowanie składam z prośbą, by rozważyła ten frazes, *próżnia grobowa w duszy*. W tych dwóch słowach mieści się los wielu ludzi na świecie. Przypominam się także panu Hrabiemu. Danielewicz dziękuje za pamięć z najszczerzą wdzięcznością, a ja proszę pamiętać nadal o niżej podpisanym

zawsze przywiązanym  
Zyg. K.

1837, Rzym 10 Decembra.

P. S. Życzę z serca Nowego Roku, dobrego. Temu trzy lata u pani wiliąjadłem.

Oto list do *Ewuni*.

*Monachiwn, 22 marca 1842.*

Niech się pani nie dziwi tym potwórnym głosem. Tak się pisze, gdy się 19 lutego, w sam dzień i chwilę urodzin (niestety 30

(1) Architekt wspomniany w ostatniej korespondencyi.

(2) Sławny autor polonezów.

raz powtórzonych) miało dwa rzuty apoplektyczne krwi do mózgu. Głowa leżała już w grobie — i to na długo. — Krwi puszczanie znów światło blade rzuciło w te ciemności — ale dotąd ręka tak pisać musi i każde pisanie męką — w tej chwili jednak miłą i uprzejmą! Lecz nie na tém koniec, pani! Jeżeliś smutkami obowiązana, dowiedz się i o moich. Konstanty (Danielewicz) od 15 lutego jak zapadł na tyfus, tak coraz gorzej i gorzej słabł, aż wreszcie temu tydzień zaczął konać bez najmniejszej nadziei już — i widziałem jak olej Ostatniego namaszczenia, spoczął na tych kochanych powiekach, na tém pełnem myśli zawsze wzniosłych czole — klęczałem i płakałem tam — noc to *najnocniejsza* z życia mego, na kształt *Letniój owój* Słowackiego (1). Więc dostałem znowu gromem i w pierś i w mózg. Jednak miłosierdzie Boga przeciągnęło jego życie prawie aż za granice życia. Dotąd nie odszedł w strony nieznane — i nawet lepiej jest — i żyć będzie jeszcze! Ale te wszystkie wzruszenia i niewczasy umysłu, serca, czucia, przegięły mnie — widzi pani jak piszę! Tyle o mnie — i o nim. — Myślę, że i tych szczegółów opis nie był nudą pani, i że w staręj przyjaźni podzieliłś mój smutek, jako ja dzielę jej niedolę.

Lecz nie trwój się pani o matkę. Matka wyzdrowieje byleby włoskie słońce błysnęło nad jej czołem. Każ pani zaprządz — i wyjedź z Krakowa i przebądź Alpy, — a gdy ujrzy pani A.... zdaleka kopułę Piotra, wnet będzie jej błogo i dobrze. Wierz, wierz mi pani — duszy jej trzeba pomagać umysłowemi lekami — rozrywać myśl jej zsmętniałą (2) — nie tyle ciało u niej co serce chore — a nic serca nie leczy na ziemi, jedno zieloność — jedno błękit — jedno słońce południowe!

Teraz, racz pozwolić pani bym nasrożył się w wyrzuty. Odkądże to szlachcicowi polskiemu za morzem bawiącemu, odsyła Polka z Polski pieniądze za czekoladę? gdzież ten obyczaj wyczytan w staroświeckich księgach? kto kiedy słyszał w naszej Koronie o czémś podobnem? Zaprawdę, niemiecka to pilność — porządek, filozofia — ale nie ufność polska — nie dobre serce polskie — nie staręj przyjaźni znak. Owóż sercu szlacheckiemu za morzem bawiącemu, markotno się stało, bo nie zasłużyło na takową odsyłkę. Wreszcie sumienne nie może na nią przystać, bo wtedyby panią po prostu okradało. Proszę o posłuchania chwilę — rzecz albo wiem tak się ma:

Gdy mi matka pani kazała, udałem się zaraz do Mayerhoffer, wchodzę — patrzę — sam król jegomość stoi w sklepie. Zdziwiłem się — ale myślę: — blisko z pałacem — wszedł jeść czekoladę — stoję więc z wszelkim respektem — nie mówię nic — czekam. — Król patrzy na mnie — potem się pyta po niemiecku czego bym ja chciał. Odpowiadam *Ihre majestaet*. On jeszcze dziwniej spojrzął i znów to samo zadaje pytanie — ja znów występuję z tytułem!

(1) Zygmunt utrzymywał, że Słowacki był autorem *Nocy letniój*.

(2) Śmierć męża była powodem tęg choroby.

Wiesz pani, że tutejszy król tak znakomite ma rysy, że go łatwo wszędzie poznać. Wrzescie najjaśniejszy pan zbliża się do mnie i mówi mi: „*Ich bin nicht der König, bloss der Hof-Chokoladermeister seiner majestaet*” i uklonił mi się nisko. Z podziwum mało nie padł — podobieństwa tak rażącego nigdy nie był widział — więc mówię mu, że on do króla podobniusię — a mój Mayerhofer coraz niżej mi się kłania — dziękuje — wreszcie z wdzięczności za taki honor zalewa się łzami — i gdy spytałem o cenę czekolady, nie chciał, i nie chciał, i nie chciał ani pheniga wziąć. Com się jego naprosił! nic nie pomogło. Posłał do Krakowa paczkę — i potem prosiłem — on zawsze odpierał: „pan mi taki honor wyrządziłeś, że całe życie będę pamiętał, i tём zaszczytném spostrzeżeniem podobieństwa mojej figury do królewskiej, aż za nadto mi tę marną czekoladę zapłaciłeś.” I na tём się skończyło, że pani nic a nic mi nie winna. Pozwolił więc bym także na kopercie napisać *beschwert*, a sercu tём ulżył.

Droga pani, za dawno się znamy, byśmy się w takie ceremonie wdawali. Bądźmy Polakami. Gdy mnie przyjdzie zachcieć kaszy naprzykład z Krakowa, napiszę do pani, a pani mi przyslesz — albo pierożków takich jak w Rzymie, zamkniętych podług metody Ampera!

Uszanowania i życzenia najszczersze, najgorętsze składam pani A.... proszę by Zdrowaś Marya zmówiła za Konstantego i za mnie. Jeszcze się wszyscy obaczym — będziemy razem — w Rzymie, w Partenopie — tam gdzie *the cypress and myrtle*!

Dłużej utrzymać pióra w ręku nie zdołam. Dzięki pani za pamięć i za list ten, który mi się wydał głosem przyjaźni, z daleka wołającej na mnie, właśnie gdy chwila ciężkiego smutku mnie obarczyła. Wiesz pani, że umiałem zawsze, i umiem na zawsze wdzięcznym jój być i matce jój, za łaskawą na mnie od lat tylu dobroć.

Zyg.. K.

Wspomnieliśmy niedawno imię Władysława Tarnowskiego, w liczbie artystów polskich, którzy przybyli do Wiednia na uroczystość Bethowena. Młody ten, pełen talentu uczeń Liszta, pierwszy raz tój zimy wysąpił z koncertem, przed areopagiem surowych mistrzów, wykarmionych tradycjami Heydena, Mozarta, Szuberta i Bethowena. Artysta nasz wybrał na pierwsze wystąpienie, najtrudniejszy z areopagów europejskich, a co więcej najtrudniejszą chwilę, gdy Wiedeń brzmiał jeszcze od koncertów i symfonii, wykonanych na cześć wielkiego mistrza przez artystów przybyłych tu z całych Niemiec. A przecież pan Tarnowski wyszedł zwycięsko z próby. Świadczyły o tём głośne oklaski wzruszonych sędziów, świadczyło dziewięciokrotne przywołanie po węgierskiej rapsody Liszta.

Zdarzyło nam się kilkakrotnie słyszeć pana Tarnowskiego, na porankach muzycznych w jego własném mieszkaniu, za co je-

steśmy mu szczerze obowiązani. Podziwialiśmy ten niepospolity a tak sympatyczny talent. Jakież w nim głębokie przejęcie się duchem mistrzów, których wykonywa utwory! Tu z Lisztem przebiega jak uragan nad szeroką doliną Dunaju, porywa myśl naszą na te pobożowiska, gdzie syny Arpada, skąpane w krwi ofiarnej, przeradzały się w kolei lat, z drapieżnych gryfów skytyjskich, w lotnych sokołów, rozpościerających skrzydła opieki, nad zagrożoną Europą; tu znów w *Ave Marya*, sięga on z Lisztem w wyżyny zaledwie dościgłe śmiertelnym, w sfery najwyższego ideału.

Najsamodzielniej przecież objawił się talent artysty, w oddaniu Szopena. Niepodobna słuchać bez łez tych czarodziejskich tonów, w których czujemy złane w harmonijną całość, i szumy starych dębów naszych, i świegotanie ptaśwa, i szelest kłosów na łanach, i fujarki pastusze, i wszystko co zrosło z nami, co żyje w nas, co porusza serce wspomnieniem. Nikt może lepiej od naszego artysty nie rozumiał Szopena!

I nie ma w tem dziwu: Władysław Tarnowski sam jest poetą wprzód nim poszedł za zdaniem Adama, że dźwięk lepiej zdoła wyrazić myśl niżeli słowo, próbował on w słowie siły twórczej, i okazał w niem talent rzeczywisty, uznany już przez krytyków naszych, a mianowicie przez Kraszewskiego.

Oprócz trzech tomów *Poezyi studenta* i kilku utworów mniejszej objętości, z których ostatniem jest piękne misterjum z dziejów biblijnych *Izaak* (Lwów 1811), pan T. wydał Zarysy historyi muzyki z Brendla, z dodaniem rozprawy o naszej muzyce rodzinnej. Przełożył niemniej na polski język *Instrumentacyą Berlioza*, do czego znakomity muzyk na krótko przed śmiercią upoważnił go własnym listem. Obszerne to dzieło przygotowane już do druku.

Z pomiędzy kompozycyi muzycznych pana T. odznaczają się szczególniej wysokim talentem, pieśni ułożone na orkiestrę, poświęcone pani Viardot. Wyjdą obecnie w Wiedniu.

Umysł to różnostronnie ukształcony: gorąco spragniony coraz nowych zdobyczy, na polu artyzmu i nauki. Jakże nam potrzeba takich niezmordowanych pracowników dziś, gdy tyle pola zalega jeszcze odłogiem! Cześć i dzięki tym, których jak p. Tarnowskiego, konieczność nie zmusza do pracy, a jednak pracują nie na chleb, gdyż mają go dostatkiem,—ale z uczucia obowiązku, dla których bodźcem słowa Kochanowskiego:

Służmy pocziwój sławie, a jako kto może  
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże!

P. T. krząta się też na różne strony. Pod tytułem *Archiwum Wróblewieckie*, wydaje on nadzwyczaj ciekawą publikacyą. Trzy pierwsze tomy obejmują pamiętniki prababki wydawcy, hrabiny Tarnowskiej z Ustrzyckich. Tom pierwszy wyszedł u Żupań-

skiego, obejmuje on ciekawe wypadki z końca zeszłego wieku. Tom drugi obecnie drukuje się w czasopiśmie Drezdeńskim; trzeci ukaże się z kolei. Mieliśmy przed oczyma własnoręczny rękopism znakomitej matrony, wielkie in folio oprawne w pergamin. Samo pismo wyraźne, wprawne, jakby mężką skreślone ręką. Co do stylu, oprócz innych zalet uderza w nim prostota połączona z wielką potęgą ducha i woli.

Obecnie p. T. odbywa artystyczną podróż po Włoszech. Da się zapewne słyszeć w Wenecyi, we Florencyi i w Neapolu. Ma zamiar zwiedzić także Sycylią, dla zbadania pozostałych tam starożytności greckich. Będzie to dopełnieniem studyów nad Grecyą, rozpoczętych już w roku zeszłym w Atenach i Peloponezie. Nasz artysta zwiedzał właśnie starożytną Atykę na parę tygodni przed smutnymi wypadkami Maratonu. Widzieliśmy obszernie notaty z tej wycieczki. Mamy nadzieję, że podróżnik poeta, wkrótce da poznać polskiemu czytelnikowi, obraz nowożytniej Hellady, skreślony z właściwym mu talentem.

---

W chwili gdy kończymy korespondencyę naszą, dowiadujemy się że przed dwoma dniami, zmarł sławny artysta dramatyczny siedmdziesięcio kilku letni starzec, Ludwik Löwe, jeden z najpierwszych artystów niemieckich tego czasu. Umarł w Wiedniu gdzie przeżył blisko lat pięćdziesiąt.

Oddany z miłością zawodowi swemu, był to człowiek głęboko i wszechstronnie ukształcony. Pisał poezye, a oprócz tego oddawał się pilnie badaniom nauk przyrodniczych. Zajmowała go szczególnie entomologia. Już przed trzydziestu kilku laty, uczeni zwracali uwagę na prace jego, w owej gałęzi nauk.

Jako artysta dramatyczny występował w różnych stronach Niemiec od r. 1821. Bawiąc w Wiedniu w r. 1824, przedstawiał świetnie rolę Jaromira w Ahnfrau (Ostatni z domu Dobratyńskich) i tak umiał pozyskać sobie Wiedeńczyków, że odtąd nie wypuścili go z grodu swego. W roku 1861 otrzymał od Cesarza pierścień brylantowy, następnie order Leopolda. Poeci ze swjej strony ofiarowali mu piękne album, w którym wyrazili zasłużone hołdy dla artysty. Stosunek przyjaźni łączył go szczególnie z Grillparzerem.

Wielcy poeci dramatyczni wiedzą najlepiej jak potężnie talent wielkich artystów dramatycznych dopełnia i uwydatnia ich pracę. Sam Grillparzer poznał z doświadczenia, ile gra wpływa na powodzenie sztuki: jego *Hero* dwadzieścia lat czekała na odpowiednią artystkę, jak widzieliśmy wyżej.

Przytaczamy dwie strofki Grillparzera z wiersza poświęconego Löwemu. Widzimy tu określony ten ścisły węzeł, łączący artystę-pisarza z artystą-aktorem.

Bracie! my czasy pamiętamy lepsze:  
Teraz na ludzi wiatr powiał złowrogi,  
Swarzą się, paplą, kto kogo dziś przeprze,  
A do zwycięstwa nikt nie wskaże drogi.

O! znaną była nam obu ta droga,  
Razem my bracie bieглиśmy do mety!  
A choć mnie czasem zachwiała się noga,  
Tyś jeden widział upadek poety.



## KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Od A. E. Odyńca.

Z ciekawością i zajęciem najżywszém odczytałem w przeszłym zeszycie Biblioteki Warszawskiej *Kronikę zagraniczną*, jak stary żołnierz zapewne odczytywałby relacyą o tém, co się działo w obozie przeciwnym, podczas odbytej dawno kampanii, w której on sam czynny brał udział. *Zwierzenia Ewuni*, opowiedziane przez jej przyjaciółkę, rozjaśniły mi wiele szczegółów i rzeczy, których się mogłem może w swoim czasie domyslać, ale nigdy wiedzieć z pewnością; tak jak i ona nawzajem nie wiedziała i nie wie dotychczas, co się działo w obozie naszym, którego (jak sama wspomina) ja byłem parlamentarzem—nie z poleceń Adama, ale z mego własnego natchnienia; traktującym nie z nią, ale z matką. Nie wiem pewnie na przykład, że jedynie to moje parlamentarstwo sprawiło, że nie wyjechaliśmy z Rzymu natychmiast po pierwszej dostrzeżonej zmianie w uprzejmości pana hrabiego, którą żona jego przezemnie usprawiedliwiła jako zwykły i częsty paroksyzm *spleenu*, wynikającego z choroby. Nie wiem, że ten projekt nagłego wyjazdu wznawiał się po razy kilka, i że raz już doszło było do tego, że musiałem zacząć pakować rzeczy, łamiąc głowę jak temu zapobiedz. I wtenczas to właśnie miałem ową rozmowę z matką, o której jest wzmianka w *Zwierzeniach*, a w skutek której zostaliśmy w Rzymie. Nie czuję się w prawie mówić tu o tém obszerniej. Zachowuję też imię „*Ewuni*,” chociaż sama autorka *Zwierzeń* wyznaje: „że świat inaczej przywykł ją nazywać,” ani śmiem zmieniać początkowej litery nazwiska, tylko że sam jej używać tu nie będę, i zastąpię ją trzema gwiazdkami. W publikacyi nawet listów moich z podróży,